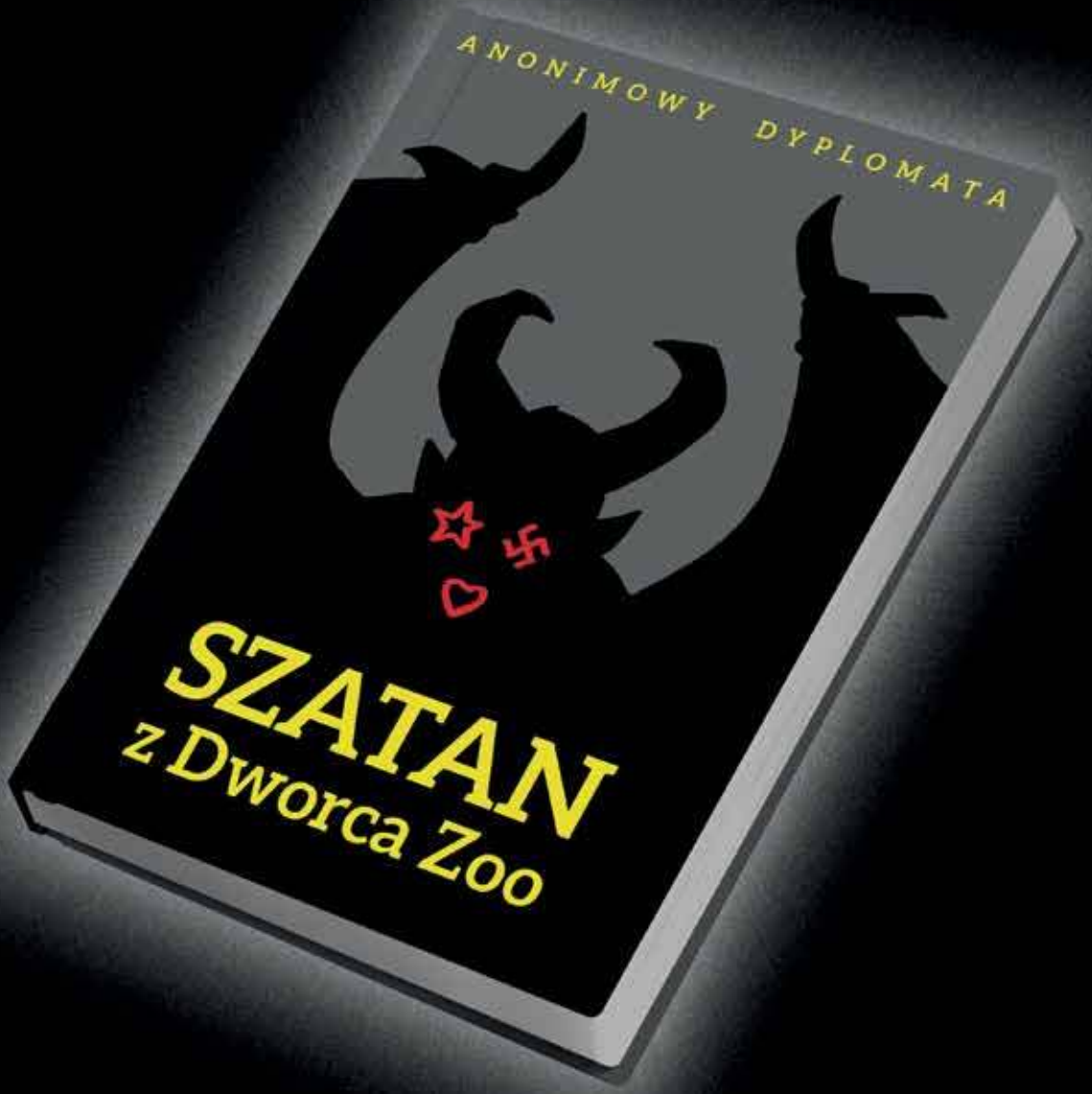
NR 40 (1964) 6 PAŹDZIERNIKA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT



ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 zł (W TYM 8% VAT)

WSTYDLIWA HISTORIA
Republiki Federalnej

TYSOL.PL

- PUTIN JAKO ALIBI
- NADCHODZĄ PORYWACZKI DZIECI

UNIKATOWA

OFERTA KOSZULEK

Z WIZERUNKIEM

BŁOGOSŁAWIONEGO KSIĘDZA

JERZEGO POPIEŁUSZKI





DOSTĘPNA NA

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 0fd3c58127



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

W ciągu kilku pierwszych powojennych dekad Niemcom udały się dwie rzeczy. Jedna to odbudowa kraju z wojennych zniszczeń i zrobienie z nadreńskiej gospodarki obiektu westchnień pozostałych krajów Europy. Ale trochę w cieniu tamtego „cudu gospodarczego" pozostawało jeszcze drugie – wcale nie mniej ważne – osiągnięcie. To budowa sprawnego systemu radzenia sobie z winą za wywołanie dwóch wojen światowych oraz planową eksterminację narodów. Jak to zrobili?

Po pierwsze, wina za nazizm została zdjęta z Niemców i przyporządkowana znacznie węższej grupie „hitlerowców". Ci naziści (tak też ich nazywano) zostali uznani za okupanta, który zniewolił czasowo niemiecki naród i zmusił państwo niemieckie do podpalenia świata.

W drugim kroku ów gen hitlerowskiego zła został oficjalnie sparowany z ideologią prawicowo-konserwatywną. To tam (i tylko tam) szukać wolno do dziś odradzającego się autorytaryzmu. Pozostałe nurty polityczne Republiki Federalnej (od komunistów i socjaldemokratów po liberałów oraz chadecję) otrzymały zaś oficjalny status antyfaszystowskich. Z biegiem lat do grona oficjalnych antyfaszystów dopuszczone zostało jeszcze tzw. pokolenie 1968 roku. Po tej stronie żadne złe niemieckie tendencje pojawić się – z definicji – nie mogą. Bo zło jest przecież gdzie indziej.

W trzecim (już całkiem współczesnym) etapie Niemcy przekonani, że temat rozliczeń mają już za sobą, chętnie zaczęli ustawiać samych siebie w roli sumienia innych. Zaczęło się tropienie zbrodni wojennych po stronie aliantów – rozliczanie nalotów Drezna i Hamburga albo cierpień, których zaznali pod koniec wojny tzw. wypędzeni. Pojawił się temat polskiego antysemityzmu czy kolaboracji innych mniejszych narodów z hitlerowską machiną zagłady. Stopniowo niemieckie moralizatorstwo przestało dotyczyć kwestii wyłącznie historycznych. Berlin z ochotą zaczął ustawiać się w roli strażnika praworządności w krajach nowej Unii, głównego krytyka „amerykańskiego imperializmu" czy zbrodni Żydów wobec narodu palestyńskiego.

Ten schemat pełen jest oczywiście luk, niedomówień, sprzeczności, a często po prostu zwyczajnych kłamstw. Takich, jak choćby kwestia niemieckiego imperializmu, który zaczął się na długo przed Hitlerem i na Hitlerze się nie skończył, bo kontynuowany jest także dziś w formie faktycznego przejęcia kluczowych unijnych instytucji. Jest też problem niebezpiecznego niemieckiego mesjanizmu. Owego przekonania, że to oni wiedzą najlepiej i że ich niemieckim obowiązkiem jest wytłumaczenie reszcie Europy, co dla niej dobre. Z tą tylko różnicą, że kiedyś robili to pod starym niemieckim hasłem „am deutschen Wesen soll die Welt genesen (sein)" z wiersza Emanuela Geibela z roku 1861. Co znaczy dosłownie, że świat najlepiej „przeżywać..." po niemiecku. I to się przecież dokładnie dzieje dzisiaj dobre 160 lat później. A kto tego nie widzi, niech sobie przypomni, kto zaplanował i przepchnął przez unijne instytucje koncepcję „transformacji energetycznej" polegającej na zastąpieniu węgla i ropy odnawialną energią. Bez użycia atomu, za to z gazem z Rosji jako paliwem przejściowym?

Stopniowo niemieckie moralizatorstwo przestało dotyczyć kwestii wyłącznie historycznych. Berlin z ochotą zaczął ustawiać się w roli strażnika praworządności w krajach nowej Unii.

Na dotykanie tych spraw Niemcy reagują oczywiście alergicznie. Cała konstrukcja odrzucenia wojennej winy nie może się przecież zawalić. Przekonanie to przekazywane jest z pokolenia na pokolenie. A kolejnym generacjom nie chodzi już nawet o to, że wyjdą na jaw sprawki i zbrodnie tego czy owego pana X z partii Y albo koncernu Z. Ten problem rozwiązała już biologia. Teraz gra toczy się o to, że naszkicowany powyżej mechanizm doskonale służy niemieckim elitom polityki, dyplomacji, biznesu czy mediów do tego, by zajmować bardzo wygodną pozycję w relacjach z resztą świata. Dzięki niej mogą mówić o tym, o czym chcą, i milczeć tam, gdzie preferują. A nadto realizować swój interes narodowy albo sektorowy tak, jak im wygodnie.

eprasa.pl 0fd3c58127

06.10.2026
WYDANIE Nr
40

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

„Szatan z Dworca Zoo”



8 **Więcej niż jeden szatan. Rozmowa z Anonimowym Dyplomatą**

12 **Deutschland über alles, czyli burdel dla wszystkich. Recenzja książki „Szatan z Dworca Zoo”**

16 **Polityka zagraniczna jest wyłączną domeną MSZ. Rozmowa z prof. Arkadym Rzegockim**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Kryzys Zachodu. Rozmowa z prof. B. Wolniewiczem 20

KRAJ

Putina trzeba by wymyślić 24
Powtórka z Brunona Kwietnia 28
Panteon świeckich świętych obecnej władzy 32
Asystencja osobista – oczekiwany projekt czy prawna niedoróbka? 36
„Wychodzicie ponad przeciętność”. Za nami gala kończąca XVIII edycję konkursu „Pracodawca Przyjazny Pracownikom” 38

ZAGRANICA

Co się stanie w Tadżykistanie? 44

SPOŁECZEŃSTWO

Nadchodzą porywaczki 48
Dziecko w torebce 52

KULTURA

Muzyka jest obszarem, który niweluje bariery. Rozmowa z A. Wiśniewskim 56
Gra wideo. Film. Recenzja filmu „Resident Evil” 60

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA 62

ZWIĄZEK

Co w związku 66
Solidarność ponad granicami 68

FELIETONY:

OKRASKA 7
GAC 23
PŁUŻAŃSKI 51
KRYSZTOPA 55

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 19
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 35
ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 42
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 72
PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Hanna Szymerska, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 0fd3c58127



WŁĄCZ SIĘ W AKCJĘ REFERENDALNĄ SOLIDARNOŚCI

- ✓ POBIERZ KARTĘ, SKANUJĄC KOD QR
- ✓ PODPISZ SIĘ
- ✓ ZBIERZ PODPISY WŚRÓD BLISKICH I ZNAJOMYCH
- ✓ WYŚLIJ WYPEŁNIONĄ KARTĘ Z PODPISAMI NA ADRES:

KOMISJA KRAJOWA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”
UL. PROSTA 30, 00-838 WARSZAWA

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

eprasa.pl 0fd3c58127

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność": ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 0fd3c58127

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Magdalena Okraska

Pijany jak Polak?

Mówi się, że Polacy piją o wiele więcej niż inne narody. Alkohol się u nas demonizuje, przypisuje się mu całe zło tego świata, ogromną szkodliwość zdrowotną i społeczną. Jaki nie byłby poziom prawdziwości tych argumentów, to rzeczywistość jest jednak trochę inna.

Polska należy do unijnych liderów pod względem spadku spożycia alkoholu. „W porównaniu z badaniem z 2022 r. nad Wisłą (podobnie jak w całej UE) zmniejszyły się grupy przyznających się do częstego picia. Odsetek osób sięgających po alkohol codziennie należy w naszym kraju do najniższych we wspólnocie (mniej, bo 0,4 proc., jest tylko na Litwie)" – informuje „Puls Biznesu". Do codziennego picia przyznaje się jedynie... pół procenta Polaków. To badanie porównuje rok 2022 z rokiem 2025. Oczywiście temat jest drażliwy i deklaracje sobie, a życie sobie, ale tendencja jest ewidentnie spadkowa.

„Puls Biznesu" podaje również dane fiskusa, z których wynika, że w tym roku wpływy z podatku od wyrobów spirytusowych są niższe. „Na koniec czerwca pozyskał z niego 3,9 mld zł, tymczasem rok wcześniej było to 4,5 mld zł. Roczny plan wpływów z tej opłaty w połowie roku zrealizowano zaledwie w 31 proc. Coś się ewidentnie u nas zmienia. Tymczasem odbiór społeczny i publicystyczny zjawiska picia alkoholu jest taki sam jak zawsze. Gdyby wierzyć naszym liberalnym publicystom oraz części internetu, okazałoby się, że Polak nic nie robi, tylko siedzi i chla. Potem, zachlany, robi okropne rzeczy – jest rasistą, chamem, mizoginem, przemocowcem. No, nie udał się nam ten przeciętny Polak.

Pomimo że zewsząd docierają informacje o trendzie „niepicia" wśród studentów i młodzieży – choć trzeba by sprawdzić, czy braku alkoholu młodzi ludzie nie rekompensują sobie innymi używkami – to autorytety grzmieć będą nadal. Wśród młodych następuje zmiana definicji rozrywki, kult kontroli i „samoogarnięcia". Wpływ społeczny i zdrowotny alkoholu jest ograniczany poprzez nakładanie przez miasta zakazu sprzedaży nocnej, zakazu reklamy, planowane są także zmiany dostępnych pojemności, by „małpki" nie kusiły i nie były tak łatwo dostępne. Kroki te oceniane są różnie, ale się wydarzają. Mimo to wciąż się słyszy, że żyjemy w kraju, gdzie wszyscy są zapijaczeni od rana do wieczora, a alkohol jest dostępny w takim stopniu, w jakim nie był nigdy w historii.

To po prostu nieprawda. Choćby w krajach ościennych nie ma takich regulacji – w Czechach i na Słowacji piwo i wódkę kupi się w budce z hot-dogami, na szlaku górskim, w kiosku z gazetami, a nawet z samoobsługowego automatu. Oczywiście za taką dostępność choćby Czechy płacą wyższą ilością spożywanego alkoholu na głowę i wyższym odsetkiem chorób wątroby niż u nas, ale kto by to dostrzegł? Polacy nadal gloryfikują czeską kulturę picia, własną uważając za niską, chamską, knajacką.

Tymczasem to właśnie u nas społeczna debata o piciu i niepiciu wydaje się nieść jakieś skutki. Szkoda tylko, że jak zawsze w Polsce, prowadzona jest z taką dozą histerii.

eprasa.pl 0fd3c58127

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia



Więcej niż JEDEN SZATAN

– „Szatan z Dworca Zoo” jest konfrontacją z różnego rodzaju totalitarnymi narracjami i próbą rozliczenia się zarówno z nierozliczonym, moim zdaniem, nazizmem, jak i z komunizmem oraz współczesnym miękkim autorytaryzmem, który można określić jako neomarksistowski – mówi **Anonimowy Dyplomata**, autor książki „Szatan z Dworca Zoo”, w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.

Fot. M. Żegliński

– Zacznę od pytania z grubej rury: czy pedofilia jest dla współczesnych Niemiec takim samym problemem, jak wcześniej nazizm?

– Tego nie wiem. Wiem natomiast, że daleko idąca akceptacja dla pedofilii w Niemczech – opieram to, co mówię, na publikacjach niemieckich autorów, raportach naukowych i książkach – ma co najmniej stuletnią historię. Zaczęło się już ponad sto lat temu, między innymi od różnych ruchów młodzieżowych, później wątki te przeszły przez okres narodowego socjalizmu. Następnie przyszła rewolucja końca lat 60., a w latach 70. i 80. pojawiły się już otwarte postulaty legalizacji pedofilii, na przykład w środowisku Zielonych. W tych kręgach nie był wstydem postulat programowy „seksu z dziećmi". Wręcz przeciwnie, w dobrym tonie było wspieranie pedofilów odbywających wyroki. Dochodziło też do skandali, o których piszę w książce, między innymi do eksperymentów polegających na przekazywaniu dzieci pod opiekę pedofilów, także osób wcześniej skazanych, choć nie tylko takich. To nie były więc wyłącznie postulaty czy dyskusje toczące się w pewnych środowiskach, ale również konkretne działania, które opisuję.

To, co jest może szczególnie ważne dzisiaj, to fakt, jak bardzo współczesna, mainstreamowa edukacja seksualna w Niemczech wyrasta z tamtych środowisk i nurtów albo z kręgów do nich zbliżonych. Pojawia się tam m.in. narracja, że człowiek jest istotą seksualną od urodzenia i że powinno się od urodzenia tę seksualność pobudzać. W latach 70. i 80. odbywało się to pod hasłem wyzwolenia seksualnego – także dzieci! Dziś – co uważam za szczególnie perfidne – koronnym argumentem za koniecznością takiej edukacji już w przedszkolu, a później w szkole, jest rzekoma chęć ochrony dzieci.

– Przejdźmy do samej książki, bo to jeden z jej ważniejszych tematów. Książka jest napisana dość specyficznie i trudno ją jednoznacznie przypisać do gatunku. To esej, esej z elementami fabuły czy raczej powieść z bardzo mocnym podkładem faktograficznym? Jak opisałbyś ją komuś, kto dopiero po nią sięgnie?

– Powiedziałbym, że to hybryda fabularno-faktograficzna.

– Nie obawiasz się, że taka forma wpłynie na odbiór? Czytelnik może spodziewać się fabuły, nawet obyczajowej, która rzeczywiście jest ważnym elementem książki, a tymczasem natrafia na mur trudnych faktów, przypisów i dokładnie opisanych źródeł każdego cytatu.

– Czytelnik może zignorować przypisy, ale zależało mi na tym, żeby dobrze udokumentować często szokujące fakty, które opisuję. W książce pojawiły się również wątki fabularne i obyczajowe, ponieważ moim zdaniem są one odbiciem pewnych zjawisk, z którymi się mierzymy, a które bardzo konkretnie przekładają się na życie poszczególnych ludzi i ich wybory moralne. To, co dzieje się na jakimś metapoziomie politycznym czy narracyjnym, również wpływa przecież na życie konkretnych osób. Chciałem, żeby to było w tej książce widoczne. Oczywiście na pewno nie do każdego taka formuła trafi, ale świadomie się na nią zdecydowałem.

> W DOBRYM TONIE BYŁO WSPIERANIE PEDOFILÓW ODBYWAJĄCYCH WYROKI.

– Kto jest w takim razie idealnym odbiorcą tej książki?

– Trudno mi powiedzieć. Zawsze mam problem, kiedy ktoś pyta mnie, o czym właściwie jest ta książka i do kogo jest skierowana. Najogólniej powiedziałbym, że jest konfrontacją z różnego rodzaju totalitarnymi narracjami i próbą rozliczenia się zarówno z nierozliczonym, moim zdaniem, nazizmem, jak i z komunizmem oraz współczesnym miękkim autorytaryzmem, który można określić jako neomarksistowski. Myślę, że jest przede wszystkim dla czytelników zainteresowanych wojnami cywilizacyjnymi, a także Niemcami, choć książka wcale nie jest tylko o Niemczech i Niemcach. Opisuje też szerzej pewne mechanizmy współczesnej kultury i polityki. Może zainteresować także osoby śledzące niemieckie narracje na temat Polski, niemiecką politykę historyczną i sposób, w jaki przeszłość wykorzystuje się w dzisiejszych sporach.

– Kiedy czytałem książkę, miałem z tyłu głowy niedawno ujawnione przez stronę amerykańską dokumenty dotyczące zaangażowania Niemców w narodowy socjalizm. Wywołały w Niemczech spory szok. Czy to jakoś koresponduje z tym, o czym piszesz?

– Tak, to rzeczywiście jest w Niemczech duży szok. Te archiwa zostały udostępnione kilka miesięcy temu i cieszą się ogromnym zainteresowaniem Niemców. Myślę, że wielu dzisiejszych Niemców rzeczywiście nie zdawało sobie sprawy ze skali pewnych zjawisk. Przy czym ja akurat jestem zdania, że sama przynależność do NSDAP nie była najgorszą rzeczą, jaką można mieć na sumieniu. Były rzeczy dużo gorsze.

eprasa.pl 0fd3c58127

– Twoja książka jest bardziej książką o Niemczech czy o manipulacji?

– Myślę, że jedno i drugie. To na pewno głębokie studium różnego rodzaju hipokryzji, tyle że rozgrywające się głównie w Niemczech. Mieszkałem tam przez wiele lat, reprezentowałem także polską dyplomację i na własnej skórze widziałem przejawy wielu najróżniejszych manipulacji w różnych obszarach, a także właśnie tej hipokryzji, o której piszę. Część z tych doświadczeń i zjawisk opisuję w książce.

KSIĄŻKA WCALE NIE JEST TYLKO O NIEMCZECH I NIEMCACH.

– To dobrze prowadzi do kolejnego pytania. Na ile historie dotyczące działalności polskiej instytucji w Berlinie są autentyczne? Czy to wszystko są Twoje doświadczenia i czy postacie pojawiające się w tej polsko-niemieckiej przestrzeni są postaciami z kluczem?

– Nie wszystkie, ale prawie wszystkie. Właściwie wszystkie historie są prawdziwe. Nie wszystko wydarzyło się w stu procentach dokładnie tak, jak to opisałem, ale jeśli chodzi o przebieg zdarzeń i przede wszystkim wydźwięk, to pozostaje on właściwie identyczny.

– Historia bohaterki odlegle przypominała mi „Dolinę Nicości” Bronisława Wildsteina. Pokazujesz też mechanizm cancel culture, zarówno w odniesieniu do naszej polityki historycznej, jak i do samych Niemiec. Czy chodzi również o niemiecki świat nauki?

– Raczej o instytucje, z którymi nasza dyplomacja próbowała nawiązywać różnego rodzaju kontakty i organizować wspólne wydarzenia.

– Czy w Niemczech możemy w ogóle znaleźć jakichś sojuszników – ludzi, z którymi da się uczciwie rozmawiać o tych sprawach – czy przy obecnym układzie tamtejszych elit jest to właściwie niemożliwe?

– Na pewno są osoby gotowe uczciwie pisać i mówić o Polsce. Chcę podkreślić, że właściwie wszystkie najważniejsze kwestie faktograficzne – zarówno dotyczące szeroko rozumianego, wielowątkowego nierozliczenia z nazizmem, jak i problemu pedofilii – opisuję na podstawie materiałów, raportów i dokumentów niemieckich. Są też osoby gotowe o tych sprawach mówić, brać udział w różnych wydarzeniach i podejmować dialog. Na pewno jest to jednak zjawisko raczej marginalne. Przy dominujących obecnie elitach i trendach partnerski i pluralistyczny dialog pozostaje bardzo trudny.

PRZYNALEŻNOŚĆ DO NSDAP NIE BYŁA NAJGORSZĄ RZECZĄ, JAKĄ MOŻNA MIEĆ NA SUMIENIU. BYŁY RZECZY DUŻO GORSZE.

– Wróćmy do warstwy fabularnej. Na ile występujące w książce kobiety i ich partnerzy mają odpowiedniki w rzeczywistości? Wszyscy ci mężczyźni są toksyczni, co zwróciło moją uwagę.

– Te kobiety nie są prawdziwymi postaciami, ale zostały zainspirowane rzeczywistymi osobami i historiami. Oczywiście nie są ich wiernymi kopiami, jednak mają jakieś swoje źródło w rzeczywistości.

– A mężczyźni? Pomyślałem sobie, że gdyby odjąć ważniejszą warstwę faktograficzną, można by wręcz uznać tę książkę za literaturę feministyczną: mamy w niej same kobiety prześladowane przez mężczyzn.

– To prawda, choć nie wszystkie. Dwie bohaterki rzeczywiście są prześladowane. Jest też wspaniała postać księdza Marka. Tak się po prostu złożyło, że historie, które chciałem opowiedzieć, przedstawiają dwóch głównych męskich bohaterów w złym świetle.

– Z bohaterów największy problem mam z Ludwikiem. Po pierwsze, ta postać wydaje mi się najmniej wiarygodna, a po drugie, nie do końca rozumiem jej motywy. Nie wyjaśniasz w książce, kim on właściwie jest, a to zarazem postać najbardziej demoniczna, ktoś pociągający, jak się wydaje, za wszystkie sznurki i gotowy do najgorszych czynów czy wręcz zbrodni. Jego czysto osobiste motywacje wydają mi się zbyt małe wobec skali tego, co robi. Dlatego chciałbym, żebyś wyjaśnił, kim tak naprawdę jest Ludwik, poza tym, że pełni rolę głównego czarnego charakteru książki?

– Ludwik jest po prostu szatanem. W pewnym momencie nazywam go zresztą wprost Lucyferem. W tym

eprasa.pl 0fd3c58127

sensie może być wszędzie, przemieszcza się, pociąga za wiele sznurków. To jest właśnie zło, które ma potrzebę stwarzania kolejnego zła. Jest też wielkim kreatorem tragedii jednej z głównych bohaterek.

– Skoro tak, to dlaczego „z Dworca Zoo"? To efektowna gra słów w tytule, która zwraca uwagę każdego, kto zetknął się z „Dziećmi z dworca ZOO" – jako czytelnik książki, widz filmu czy przedstawienia. Natomiast w samej książce nie widzę wyraźnego związku Ludwika z Dworcem Zoo. On wydaje się wręcz najbardziej polskim z męskich bohaterów.

– To prawda. Szatanem z Dworca Zoo jest inna postać. Można powiedzieć, że w książce jest więcej niż jeden szatan.

– Muszę to podrążyć, bo ciekawość czytelnika domaga się odpowiedzi. Ta postać wydaje mi się bardzo wildsteinowska. Ludwik sprawia wrażenie wysoko postawionego funkcjonariusza jakiejś służby bezpieczeństwa, który ma swojego pomagiera, typowego ubeka. Na ile ta intuicja jest trafna?

– Rogal rzeczywiście jest dawnym esbekiem. W książce jest to powiedziane dość wyraźnie: ma doświadczenie jeszcze z lat 80., między innymi związane z mordowaniem księży. Natomiast o Ludwiku nie myślałem jako o wysokim funkcjonariuszu. Myślałem o nim przede wszystkim jako o demonie.

– To dużo wyjaśnia. Przez całą książkę przewija się Jacek Kaczmarski – jako źródło cytatów, ale też jako pewnego rodzaju dodatkowa narracja. Gdyby tę książkę kiedyś przenieść na ekran albo na scenę, można sobie wyobrazić, że właśnie piosenki Kaczmarskiego tworzyłyby klamrę całej opowieści. Rozumiem więc, że Kaczmarski jest dla Ciebie bardzo ważnym twórcą. Z drugiej strony mamy współczesne świadectwa na jego temat. Są dyskusyjne, nie wiemy, ile w nich emocji, a ile prawdy, ale można sobie wyobrazić Kaczmarskiego jako jednego z negatywnych męskich bohaterów tej książki, gdyby się w niej pojawił. Widzisz w tym jakiś paradoks, czy z Twojego punktu widzenia te dwie rzeczy można po prostu od siebie oddzielić?

– Nie zagłębiałem się bardzo mocno w te oskarżenia, ale je znam. Kaczmarski nie żyje od wielu lat, nie może się w tej sprawie wypowiedzieć. Dla mnie pozostaje człowiekiem, na którego piosenkach się wychowywałem i którego twórczość jest ze mną przez całe życie. Chyba nie ma drugiego autora, który byłby dla mnie równie ważny, który tak precyzyjnie, pięknie i wstrząsająco opisał właściwie każdy element, można nawet powiedzieć, historii ludzkości – począwszy od programu „Raj". Mam też wrażenie, że właśnie w jego piosenkach znajdujemy odpowiedź na bardzo wiele pytań, które stawiamy sobie dzisiaj, i konfrontację z wieloma zjawiskami, z którymi także obecnie się mierzymy.

TO JEST ZŁO, KTÓRE MA POTRZEBĘ STWARZANIA KOLEJNEGO ZŁA.

– Czy cytowane w książce piosenki należą do Twoich ulubionych, czy po prostu najlepiej pasowały do tej historii?

– Lubię je, ale niekoniecznie są dla mnie najważniejsze. Wybrałem je przede wszystkim dlatego, że dobrze komponowały się z treścią książki.

– W takim razie najtrudniejsze pytanie: jakie są Twoje trzy ulubione utwory Kaczmarskiego?

– „Autoportret Witkacego", „Quasimodo" i „Powrót".

– Na koniec powiedz jeszcze, jakie masz dalsze plany. Chcesz teraz po prostu skupić się na felietonach czy jednak myślisz, że będziesz pisał następną książkę?

– Na razie mam wrażenie, że jeśli chodzi o książki, powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Chociaż jakieś pomysły zaczynają mi już chodzić po głowie. W tej chwili będę dalej pisał felietony. Mam kilka kolejnych tematów, ciekawych, jak sądzę, i na razie tym będę się zajmował.

PRZY DOMINUJĄCYCH OBECNIE ELITACH I TRENDACH DIALOG POZOSTAJE BARDZO TRUDNY.

Anonimowy Dyplomata – pseudonim byłego polskiego dyplomaty, od lat pracującego w Niemczech, współpracownika „Tygodnika Solidarność" i portalu Tysol.pl, autora książki „Szatan z Dworca Zoo" wydanej niedawno nakładem Fundacji Promocji Solidarności.

eprasa.pl 0fd3c58127

Deutschland über alles, czyli burdel dla wszystkich



Była słynna książka „My, dzieci z dworca ZOO”, a teraz pojawił się „Szatan z Dworca Zoo” i przyznaję, **szwabski diabeł mnie wystraszył**, przeraził niczym redaktora Cezarego Krysztopę, który w rekomendacji książki napisał na okładce: „Ta książka powinna wstrząsnąć Polską. Mną wstrząsnęła”. Mną również.

Sebastian Reńca

To nie jest prosta książka. Fakt, czyta się ją szybko, ale powtórzę – prosta nie jest, ponieważ, choć ma formę powieści, to fabuła, intryga i dramaturgia są w niej najmniej ważne, przynajmniej dla mnie. Ważne jest coś innego.

Chłop czy baba?

Miałem wrażenie, czytając „Szatana...”, że choć autor, czyli Anonimowy Dyplomata, stosuje zaimki on i jego, to w istocie jest nim ona, czyli kobieta urodzona w latach 60. Dlaczego akurat wtedy? Ze względu na atencję wobec gęsto cytowanej twórczości Jacka Kaczmarskiego, którego zresztą ja nie lubię, pamiętając, jak zachowywał się wobec swych najbliższych kobiet.

Tak więc na mój nos Anonimowy Dyplomata to kobieta, ale oczywiście mogę się mylić.

W tej powieści nie ma dobrych bohaterów płci męskiej. Faceci to

eprasa.pl 0fd3c58127



Fot. Adobe Stock

idioci, zboczeńcy, manipulatorzy, intryganci, w ogóle dno. Nawet jeśli zdarza się facet, na którego zwraca uwagę jedna z bohaterek, to i tak okazuje się on dupkiem. Po wtóre, na płeć damską Anonimowego Dyplomaty wskazuje również to, jak pokazane są rozterki, myślenie i zachowanie bohaterek. Po prostu kobieta wie o kobietach więcej niż każdy facet na Ziemi. Chyba że autor jest szczęściarzem, który posiadł ową tajemną wiedzę.

Jednak, jak już napisałem, fabuła w tej powieści najmniej mnie zaintrygowała. Ważniejsze jest to, czego można dowiedzieć się między kolejnymi dialogami i scenami fabularnymi. Tym czymś są informacje o Niemcach: o tym, jak chronili po II wojnie światowej zbrodniarzy; o ich miłości do komunistycznych ideologów; o piekle, jakie serwowali i serwują pedofile dzieciom czy o szambie, jakim jest powszechna i publiczna seksualizacja społeczeństwa mieszkającego na zachód od Odry.

Seksedukacja najmłodszych

„Darmowy burdel dla wszystkich!" – idę o zakład, że kiedyś jakaś niemiecka partia z takim hasłem pójdzie do wyborów i zdobędzie większość głosów. Zagłosują na nią masowo, bo nic tak nie podnosi endorfin i poczucia własnej wartości, jak darmowa wizyta w lupanarze, dla płci wszelakich i przedstawicieli różnych preferencji.

Na razie w niemieckim podręczniku metodycznym „Edukacja seksualnej różnorodności" można znaleźć ćwiczenie zatytułowane właśnie „Ein neuer Puff für alle", czyli „Burdel dla wszystkich", w tamtejszych kartach pracy umieszczono... plan architektoniczny przybytku rozkoszy. Anonimowy Dyplomata serwuje nam kilka cytatów z owego podręcznika.

W ćwiczeniu podano, że „dom uciech wymaga modernizacji", ale uczestnicy lekcji powinni przygotować też „merytoryczną ofertę burdelu", czyli „Jakie preferencje seksualne mają tu być zaspokajane, w jaki sposób? [...] I kto powinien tu pracować? Jakie zdolności i umiejętności powinny posiadać osoby tu zatrudnione, żeby obsłużyć i zadowolić wszelkich możliwych ludzi?". Fajne? Bardzo fajne. Oj, nasza biedna Polska jest jeszcze 100 lat za Niemcami. Na szczęście, mając takie „ministry" jak obecnie, możemy mieć nadzieję, że i u nas w końcu burdele będą legalne i powszechne niczym sklepy mające w logo płaza lub owada.

Pal sześć, jeśli za ćwiczenia zabierają się dorośli obywatele kraju ze stolicą w Berlinie. Ich sprawa. Niestety, jest gorzej. Jest strasznie. Adresatami takich i innych ćwiczeń są... dzieci!

Anonimowy Dyplomata pisze: „Ćwiczenie «Pierwsze wrażenie» polega na tym, że dziesięciolatki muszą zadeklarować, «czego od zawsze chciały popróbować w seksie», albo zastanowić się, jaka jest «moja ulubiona pozycja/ulubiona praktyka seksualna». W zadaniu «Galaktyczny seks» dzieci «zachęca się do burzy mózgów i zebrania wszelkich pojęć i określeń dotyczących praktyk seksualnych, nawet pozornie obrzydliwych, perwersyjnych lub zakazanych»".

Obstawiam, że zanim przyszedł czas na „Galaktyczny seks", była kosmiczna dieta planetarna. I tak małymi kroczkami, kroczek po kroczku można dojść, od kalafiora czy szparagów, do katalogu pomocy edukacyjnych, wśród których są i te związane z „zagadnieniem seksualności, miłości i związków", takie jak: szminka, Biblia i krzyż, muzułmańska chusta, ale też prezerwatywy, kajdanki, seksowna bielizna, świeca i wibrator. Gdy przeczytałem ten fragment w „Szatanie...", zadałem sobie w myślach pytanie, po co im Biblia i krzyż? Jedyna odpowiedź, jaka mi wpadła do głowy, brzmiała: by je sprofanować.

Dziury, wibratory i pedofile

Nie miałem pojęcia, że grupa studentów działających w Referacie do spraw querr Uniwersytetu w Augsburgu w Bawarii swego czasu zażądała... tzw. dziur chwały! Miałyby to być trzy pomieszczenia postawione tuż przy wejściu obok tablic informacyjnych. Zastanawiają się Państwo, co to jest „dziura chwały"? Spokojnie, ja też się zastanawiałem. Pierwsze skojarzenie to wychodek. I to skojarzenie niemal trafne, ale nieprawdziwe.

eprasa.pl 0fd3c58127

Uświadamia nas Anonimowy Dyplomata: „Dziury chwały to otwory służące do uprawiania anonimowego seksu. Wnioskodawcy pomyśleli naprawdę o wszystkim...”. Tutaj autor cytuje tekst z „Bilda” z roku 2023 o tym, że te dziury „powinny być dźwięko- i światłoszczelne, przystosowane dla osób z niepełnosprawnościami, wyposażone w uchwyty, których można się będzie trzymać, w regulatory wysokości, prezerwatywy, maski oralne, środki nawilżające i dezynfekujące”.

Pomysłodawcy napisali we wniosku, że „Gloryholes [czyli dziury chwały – przyp. S.R.] przyczyniłyby się do różnorodności na kampusie”. Ponadto wiadomo przecież, że „seks jest aktywnością odprężającą, co byłoby przydatne w często stresującej codzienności uniwersytetu”. A przede wszystkim utworzenie takich dziur „pozwoliłoby uniwersytetowi określić się jako przestrzeń krytyczna wobec heteronormatywności”, bo jak wiadomo, normalność to złom, a konserwatywne zacofanie należy zwalczać wszelkimi dostępnymi środkami na ziemi, morzu i w powietrzu.

Konwent studencki odrzucił wniosek nieheteronormatywnych. Na razie, w przyszłości, zapewne niedalekiej, głosowanie nad podobnymi wnioskami może się skończyć przyklepaniem petycji i postawieniem dziur chwały dla amatorów anonimowego seksu oralnego przy wejściu na każdy niemiecki uniwerek. Kolokwium, egzamin, obrona prac licencjackich i magisterskich zawsze stresują, nawet kujonów, a tak, jak będzie „gloryholes”, pójdzie się pięć minut przed egzaminem do dziury i cały stres zejdzie ze studenta. Obrzydliwe? Tak i to bardzo, ale obstawiam, że właśnie takie zachowania z czasem staną się normą, a ich krytyka – przestępstwem.

Pojęcia nie miałem również o tym, jak dzielni Berlińczycy walczyli z traumą spowodowaną pandemią i wymuszoną samotnością w obawie przed groźnym wirusem. Zresztą przerażenie wywołane i powszechne kilka lat temu pozostało niektórym do dzisiaj. Również w Polsce można co rusz spotkać kogoś, kto ze strachem w oczach mija nas z maseczką zasłaniającą nos i usta.

Berlińczycy, a raczej Berlinianki, chociaż Bogiem a prawdą, kto ich tam wie, ratowali się w czasie pandemii... wibratorem, zgodnie z wytycznymi drukowanymi na plakatach, które zdobiły niemiecką stolicę: „Zachowaj spokój, używaj wibratora!”. Naprawdę, niemiecki świat schodzi na psy, nie obrażając tych zwierząt, które bardzo lubię. Szczególnie, nomen omen, owczarki niemieckie.

Najbardziej przerażające fragmenty dotyczą pedofilii i zboczeńców, którzy bezkarnie i przez lata krzywdzili dzieci. Każdy z nich zasługuje na najwyższą karę, która obecnie jest zakazana w Unii Europejskiej. „Przez ponad trzydzieści lat berlińskie urzędy ds. młodzieży (Jugendamty) przekazywały bezdomnych berlińskich chłopców w «dobre ręce». Tylu ich się pętało w okolicach Dworca Zoo! Wszyscy o tym wiedzą nie od dziś. Najlepsze były ręce czułe, mocne, męskie. Także ręce pedofilów po wyrokach” – pisze Anonimowy Dyplomata.

Tego, który był „postacią kluczową w siatce pedofilskiej”, można śmiało nazwać intelektualistą. Profesor Helmut Kentler, bo o nim mowa, był pedagogiem i wykładowcą, ekspertem, guru, doradcą psychologicznym policji i biegłym sądowym. Cały jego proceder był... legalny, a trwał przez lata do 2003 r. Ten „przemocowiec seksualny wobec dzieci odgrywał kluczową rolę w sieci, ale jak się niebawem okaże, stanowiło to jedynie wierzchołek góry lodowej...” – podkreśla Anonimowy Dyplomata i dalej opisuje owy „wierzchołek”. Najbardziej przeraziło mnie w tych informacjach to, że wszystko działo się lege artis, a krzywdzeni chłopcy nikogo nie obchodzili.

> NORMALNOŚĆ TO ZŁOM, A KONSERWATYWNE ZACOFANIE NALEŻY ZWALCZAĆ WSZELKIMI DOSTĘPNYMI ŚRODKAMI NA ZIEMI, MORZU I W POWIETRZU.

Liberał i totalitaryści

Czytając tę książkę, miałem nieodparte wrażenie, że Zachód, niby demokratyczny, niby liberalny, uwielbia wszelakie totalitaryzmy, a przede wszystkim ich przedstawicieli i ideologów.

Wiadomo, że nazizm, zwany często faszyzmem, to zło, ale jest jedno „ale”. Ci, którzy byli czynnymi przedstawicielami świata rządzonego przez partię Adolfa Hitlera, już nie. W Niemczech Zachodnich po wojnie nie skazano ani jednego sędziego, który wydawał wyroki zgodne z prawem obowiązującym z III Rzeszy. Ani jeden taki wyrok nie zapadał!

Ilu zostało skazanych prokuratorów? Tutaj można odtrąbić sukces. Skazano jednego prokuratora. Esesman Walter Huppenkothen, bo o nim

eprasa.pl 0fd3c58127

mowa, był nie tylko prawnikiem, ale też m.in. szefem Gestapo w Lublinie, funkcjonariuszem Einsatzgruppe I, która wymordowała 6 tys. Polaków. Ale nie za to go skazano. Usłyszał wyrok skazujący, ponieważ... nie dopatrzył formalności w procesie wojskowych biorących udział w spisku Wilhelma Canarisa, co zdarzyło się miesiąc przed końcem wojny.

À propos wojny. Od 1950 r. w Niemcach obowiązuje „ustawa o zaopatrzeniu ofiar wojny". Kto według ustawodawców jest ofiarą wojny? Nie więzień któregoś z obozów koncentracyjnych czy obozów pracy, nie człowiek torturowany na przesłuchaniu w Gestapo, nie mieszkaniec któregoś z gett rozsianych po całej okupowanej przez Niemców Europie. Ofiarą wojny jest każdy, kto – jak pisze Anonimowy Dyplomata – „podczas służby (para)militarnej w czasie wojny poniósł uszczerbek na zdrowiu. W przypadku zmarłych – ich bliscy. Z dobrodziejstw ustawy nie wykluczono SS-manów, funkcjonariuszy Waffen-SS ani zbrodniarzy wojennych". W 1998 r. przeprowadzano nowelizację ustawy, a pieniądze z jej tytułu pobierało wówczas ok. 50 tys. osób. Świadczenia pozbawiono wtedy 99 z nich. Anonimowy Dyplomata konstatuje, że „Niemcy wypłaciły byłym funkcjonariuszom III Rzeszy odszkodowania w wysokości 306 miliardów euro, polskim ofiarom – do dziś – 1,4 mld euro".

Jak wspomniałem, naziści to nie jedyni totalitaryści cieszący się atencją Zachodu, w tym Niemców.

Zaliczają się do nich również komuniści, na czele z Różą Luksemburg i Włodzimierzem Leninem. Ich postaci ociepla się nie tylko w debatach i licznych publikacjach, ale również w mediach społecznościowych, co autor z ironią opisuje: „Tu anonimowa Różyczka wącha różę na Facebooku, tam trąca się musztardówką z Leninem".

Zachód gnije

Po lekturze tej książki nie ma się co dziwić, że dawni marksiści-leniniści, wywodzący się z „komunistycznej PZPR-owskiej Sodomy" (copyright by prezydent Karol Nawrocki), tak wychwalają Unię Europejską, przywołując przy tym skatologiczne dykteryjki. Dzieje się tak, ponieważ wszelkie szambo, jakie wylewa się w zachodnich stolicach na czele z Berlinem, przelewa się i do nas. Dziś bardziej niż Polakiem należy być „Europejczykiem", wolnym, liberalnym, otwartym, tolerancyjnym itd., itp. Nie bez przyczyny Rafał „Dupiarz" Trzaskowski startował w wyborach na prezydenta stolicy z hasłem będącym parafrazą tytułu ćwiczenia z niemieckiego podręcznika: „Warszawa. Dla wszystkich".

Degrengolada płynie do nas z Zachodu, odkąd za sprawą Polaków (przede wszystkim Solidarności) padła żelazna kurtyna. Pozbyliśmy się jednych sodomitów, ale zyskaliśmy innych, w bardziej dosłownym tego słowa znaczeniu.

To nie jest tak, że neguję wszystko, co mamy dzięki w jakiejś mierze Zachodowi (chociażby postęp technologiczny, otwarte granice, lepsze drogi i gospodarkę, inwestycje itd.), oczywiście, że tak nie jest, ale Zachód – niestety – gnije. Cywilizacja łacińska spychana jest tam na margines, tak jak religia chrześcijańska. Europa, choć uważa seksualizację za jedną z najważniejszych wartości człowieka, to wyludnia się, jeżeli chodzi o jej tutejszych mieszkańców. Za to zaludnia się migrantami z krajów, którzy w żaden, ale to w żaden sposób, nie chcą się integrować, za to masowo się reprodukują. Chodzi przede wszystkim o muzułmanów, którzy w końcu i dosłownie zaleją starą Europę, zamienią średniowieczne kościoły na meczety, kampanile w minarety, a demokrację w kalifat.

Pozostaje jedynie nadzieja, że przyczółkiem rekonkwisty będzie wówczas Polska, bo choć Kościół ma dziś problemy, chociażby z coraz bardziej pustymi świątyniami oraz z duchownymi, którzy w dzień odprawiają Msze Święte, a w nocy urządzają homoseksualne orgie, to w Polsce wciąż najważniejszym wyznaniem jest katolicyzm.

> ZACHÓD – NIESTETY – GNIJE. CYWILIZACJA ŁACIŃSKA SPYCHANA JEST TAM NA MARGINES, TAK JAK RELIGIA CHRZEŚCIJAŃSKA.

Podsumowując. Z nadzieją czekam na kolejną książkę Anonimowego Dyplomaty, książkę publicystyczną, podzieloną np. na pięć części: „Wielbiciele Lenina, Marksa i Luksemburg"; „Rozliczenie z nazizmem"; „Powszechna seksualizacja"; „Pedofilia ma się dobrze"; „Migranci". W ten sposób czytelnik otrzymałby usystematyzowane kompendium na temat współczesnego niemieckiego społeczeństwa. Taka książka to byłaby – jak mawia młodzież – petarda. Dlatego, powtórzę, czekam z niecierpliwością właśnie na taką publikację Anonimowego Dyplomaty, a obecną szczerze polecam, przede wszystkim germanofilom.

eprasa.pl 0fd3c58127

Polityka zagraniczna nie jest wyłączną domeną MSZ

– Trzeba przestać myśleć, że polityka zagraniczna jest wyłączną domeną MSZ. Ministerstwo powinno być jej centrum koordynacyjnym, ale do realizacji polskich interesów potrzebne są uniwersytety, przedsiębiorstwa, instytucje kultury, think tanki, media, samorządy, organizacje społeczne i rosnące grono zagranicznych przyjaciół Polski – mówi prof. **Arkady Rzegocki** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.



Fot. arch. rozmówcy

– Wiemy, że Niemcy są skuteczne w polityce zagranicznej. Każda partia niemiecka ma w innych krajach swoje fundacje nie tylko w naszej części Europy, ale też np. we Francji czy Włoszech. Pytanie, co my z tym robimy, co zrobiliśmy i co zamierzamy zrobić?

– Niemcy zbudowały bardzo gęstą infrastrukturę obecności za granicą: obok klasycznej dyplomacji działają fundacje polityczne, instytucje kultury, organizacje naukowe, media, biznes i sieci eksperckie. Niemieckie fundacje polityczne są formalnie niezależne od rządu, ale ich projekty zagraniczne korzystają z finansowania publicznego. To pokazuje przede wszystkim, że polityka zagraniczna nie kończy się na ambasadzie. Polska również posiada ogromne aktywa: kulturę, historię, naukę, biznes, samorządy, organizacje społeczne, Kościoły, a przede wszystkim wielomilionową Polonię. Problem polega na tym, że zbyt rzadko traktujemy je jako element jednego ekosystemu polskiej obecności międzynarodowej. Potrzebujemy strategii obliczonej nie na jedną kadencję, ale na dziesięciolecia.

– Czy nie jest tak, że do soft power potrzeba hard power? Niemiecką soft power wspiera twarda siła gospodarcza i polityczna. A z tym u nas nienajlepiej.

– Oczywiście. Soft power nie zastępuje siły państwa. Najskuteczniejsze są państwa, które potrafią łączyć atrakcyjność kulturową, wiarygodność i zdolność budowania koalicji z siłą gospodarczą, militarną i instytucjonalną. Dlatego wolę mówić o smart power – umiejętnym łączeniu różnych instrumentów oddziaływania. Polska w ostatnich latach bardzo poważnie zwiększa znaczenie bezpieczeństwa i obronności. Teraz równie konsekwentnie powinniśmy rozwijać i promować wiedzę o Polsce w wymiarze intelektualnym, kulturowym, gospodarczym, społecznym.

– W swojej książce „Dyplomacja otwarta, czyli jak skutecznie realizować rację stanu” proponuje Pan

eprasa.pl 0fd3c58127

dyplomację otwartą. Na czym ma polegać jej nowa jakość i jakie korzyści ma przynieść Polsce?

– Dyplomacja otwarta wychodzi z założenia, że współczesnej polityki zagranicznej nie prowadzą już wyłącznie zawodowi dyplomaci. Państwo pozostaje najważniejszym aktorem, ale jego skuteczność zależy od tego, czy potrafi uruchomić potencjał całego społeczeństwa. Ambasador powinien więc nie tylko reprezentować państwo, lecz również budować sieci: łączyć naukowców, przedsiębiorców, artystów, samorządowców, ekspertów i Polonię. Ta aktywność powinna polegać na wzajemnej inspiracji i współpracy. Dyplomacja XXI wieku jest w coraz większym stopniu sztuką budowania zaufania, relacji i trwałych środowisk przyjaciół Polski. Szczególnym fenomenem ostatniej dekady jest rosnąca liczba przyjaciół Polski, a także stowarzyszeń, instytucji powoływanych do życia przez obcokrajowców w celu promocji wiedzy o Polsce. W Wielkiej Brytanii można wymienić choćby RAF Ingham Polish Heritage Centre – promujące wiedzę o polskich dywizjonach bombowych, czy Polish Heriteg Flight w Duxford – lotniczą część Imperial War Museum. To wszystko wymaga ciągłości, spójności i długofalowej konsekwencji w praktyce dyplomatycznej.

– Czy można uzgodnić te działania i rację stanu ponad podziałami? Jesteśmy potwornie podzieleni.

– Nie musimy zgadzać się we wszystkim. Demokracja zakłada spór. Co więcej, różnorodność, debata jest ważną częścią wolnego społeczeństwa. Powinniśmy jednak umieć określić pewien katalog spraw, które są ważniejsze niż wynik najbliższych wyborów.

– Jaki katalog?

– Bezpieczeństwo państwa, suwerenność, pozycja i wizerunek Polski w Europie i NATO, rozwój gospodarczy, bezpieczeństwo energetyczne czy troska o Polaków za granicą powinny należeć do obszaru możliwie szerokiego konsensusu. Racja stanu zaczyna się właśnie tam, gdzie potrafimy myśleć dalej niż perspektywa jednej kadencji, gdzie potrafimy myśleć w kategoriach dobra Rzeczy Wspólnej, Rzeczypospolitej.

– Czy można w Polsce oddzielić rację stanu od racji partii rządzącej?

– Powinniśmy do tego dążyć. Każdy demokratycznie wybrany rząd ma prawo realizować własny program i inaczej rozkładać akcenty w polityce zagranicznej. Ale interes państwa jest czymś trwalszym niż interes każdej partii. Silne państwa charakteryzuje zdolność zachowania ciągłości w sprawach fundamentalnych mimo zmian politycznych. Jeżeli przy każdej zmianie rządu zaczynamy politykę zagraniczną od początku, sami ograniczamy własną skuteczność.

POLSKA POSIADA OGROMNE AKTYWA: KULTURĘ, HISTORIĘ, NAUKĘ, BIZNES, SAMORZĄDY, ORGANIZACJE SPOŁECZNE, KOŚCIOŁY, A PRZEDE WSZYSTKIM WIELOMILIONOWĄ POLONIĘ.

– A jak otworzyć dyplomację na społeczeństwo, kulturę, naukę i biznes, a jednocześnie ją profesjonalizować?

– To nie są cele sprzeczne. Wręcz przeciwnie. Potrzebujemy bardzo profesjonalnej służby zagranicznej, która potrafi współpracować z ludźmi spoza administracji. Ambasada powinna być swoistym centrum sieciującym polskie aktywa w danym państwie. Dyplomata musi wiedzieć, kogo warto ze sobą połączyć, gdzie znajduje się polski potencjał i jak wesprzeć polskiego naukowca, przedsiębiorcę, artystę czy organizację społeczną. Otwartość nie oznacza amatorszczyzny. Wymaga jeszcze większego profesjonalizmu.

AMBASADA POWINNA BYĆ SWOISTYM CENTRUM SIECIUJĄCYM POLSKIE AKTYWA W DANYM PAŃSTWIE.

– Nauka jako narzędzie dyplomacji?

– Nauka i szerzej dyplomacja akademicka to jeden z najbardziej niedocenianych polskich zasobów. Uniwersytety tworzą długotrwałe relacje – często znacznie trwalsze niż kontakty polityczne. Student zagraniczny, który spędzi kilka lat w Krakowie, Warszawie czy Wrocławiu, może przez kolejne trzydzieści lat pozostawać naturalnym partnerem, a często promotorem wiedzy o Polsce. Niemcy bardzo świadomie wykorzystują międzynarodową

eprasa.pl 0fd3c58127

współpracę akademicką. Ich system obejmuje m.in. DAAD i Fundację Alexandra von Humboldta, a niemieckie MSZ samo określa politykę kulturalną i edukacyjną jako ważny element soft power i konkurencji o wpływ, idee oraz narracje. Polska również powinna znacznie mocniej inwestować w dyplomację naukową, stypendia, wymiany i trwałe sieci absolwentów. Ale powinniśmy zacząć od zaopiekowania się obcokrajowcami, którzy już studiują w Polsce, każdy z nich powinien stać się naturalnym promotorem wiedzy o Polsce.

POLONIA NIE MOŻE BYĆ TRAKTOWANA WYŁĄCZNIE JAKO ADRESAT POLITYKI PAŃSTWA. POWINNA BYĆ JEDNYM Z JEJ PARTNERÓW.

– Jak uruchomić kapitał społeczny, gospodarczy, kulturowy, naukowy i historyczny całej wspólnoty?

– Przede wszystkim trzeba przestać myśleć, że polityka zagraniczna jest wyłączną domeną MSZ. Ministerstwo powinno być jej centrum koordynacyjnym, ale do realizacji polskich interesów potrzebne są uniwersytety, przedsiębiorstwa, instytucje kultury, think tanki, media, samorządy, organizacje społeczne i rosnące grono zagranicznych przyjaciół Polski. Wszystkich nas powinna łączyć wiara i zrozumienie znaczenia i roli Polski w Europie, we współczesnym świecie. Każdy polski profesor wykładający na zagranicznej uczelni, przedsiębiorca tworzący relacje gospodarcze czy artysta odnoszący sukces międzynarodowy, a nawet każdy student, może wzmacniać pozycję Polski. Rolą państwa jest ten potencjał dostrzegać, łączyć i wspierać.

– Polonia – uśpiony olbrzym, każda ekipa rządząca twierdzi, że rola Polonii powinna być większa, ale co to oznacza w praktyce?

– Polonia nie może być traktowana wyłącznie jako adresat polityki państwa. Powinna być jednym z jej partnerów. To miliony ludzi posiadających wiedzę o swoich krajach zamieszkania, kontakty, doświadczenie zawodowe i naturalne możliwości budowania relacji z Polską. Podczas mojej pracy dyplomatycznej wielokrotnie widziałem, że dobrze zorganizowana wspólnota polska może zrobić dla obecności Polski bardzo wiele. Zadaniem ambasady nie jest kierowanie Polonią, lecz budowanie zaufania, otwieranie drzwi i pomaganie w tworzeniu sieci współpracy. Silna dyplomacja to nie tylko silne MSZ. To zdolność państwa do uruchomienia na rzecz racji stanu całego potencjału naszej wspólnoty – państwa, społeczeństwa, gospodarki, kultury, sportu, nauki, Polonii oraz zagranicznych przyjaciół Polski.

– Dlaczego dotychczasowy model dyplomacji jest niewystarczający?

– Bo świat bardzo się zmienił. Dawniej znaczna część relacji międzynarodowych przebiegała między rządami i ministerstwami. Dzisiaj wpływ powstaje także na uniwersytetach, w mediach społecznościowych, korporacjach, think tankach, mediach, organizacjach pozarządowych i środowiskach eksperckich. Klasyczna dyplomacja pozostaje niezbędna, ale sama już nie wystarcza. Państwo, które nie jest obecne w tych nowych przestrzeniach, oddaje pole innym.

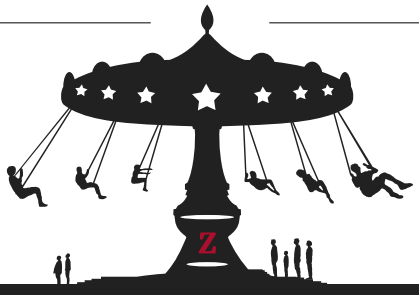
Arkady Rzegocki – profesor UJ, politolog, Ambasador RP w Londynie (2016–2021), Szef Służby Zagranicznej (2021–2023), Ambasador RP w Irlandii (2023–2024). Ostatnio opublikował: „Dyplomacja otwarta, czyli jak skutecznie realizować rację stanu”, Księgarnia Akademicka, Kraków 2025; „Dyplomacja przełomu, przełom w dyplomacji”, Arkady Rzegocki (red.), Księgarnia Akademicka, Kraków 2026.

PRZEWRACA OCZAMI **MICHALSKI**



eprasa.pl 0fd3c58127

KARUZELA BLOGERAMI



GRZEGORZ „GRZECHG" GOŁĘBIEWSKI

WYPALONY RZĄD TUSKA

NIE MA JUŻ ANI JEDNEGO DNIA BEZ ATAKU na prezydenta Karola Nawrockiego, nie ma w zasadzie ani jednej godziny bez hejtu samego Donalda Tuska i jego kamaryli na opozycję, a co najistotniejsze nie wydaje się, by ludzie władzy wyznaczyli sobie jakąkolwiek granicę obłędu, w który i tak już popadli. To oczywiste, że wszystkie te działania są podyktowane przyszłorocznymi wyborami, które mogą oznaczać kres władzy obecnej ekipy. I w zasadzie wszystko to już widzieliśmy w poprzednich latach, bo na polaryzacji zyskiwała i Platforma Obywatelska, i Prawo i Sprawiedliwość. Ale teraz mamy do czynienia z czymś wyjątkowym. Tusk i jego potężna machina propagandowa chcą „zatopić" PiS i prezydenta, zanim w ogóle zacznie się właściwa kampania wyborcza. Zyskać wyraźną przewagę sondażową, zanim rozpocznie się decydująca rozgrywka.

Ten plan, widoczny już gołym okiem, przybiera jednak postać politycznej paranoi, która jest nie tyle groźna dla opozycji i samego prezydenta, ile dla Polski. Wszystkie te gigantyczne wysiłki zmierzające do całkowitego zobrzydzenia Karola Nawrockiego oraz Prawa i Sprawiedliwości nie przynoszą bowiem spodziewanego efektu, a trudno będzie znaleźć Tuskowi nowe narracje, żeby uruchomić kolejne akcje hejtu. Rząd Koalicji 13 grudnia jest hejtersko i programowo wypalony. Nie ma żadnych wymiernych sukcesów, które realnie odczuliby wyborcy. Rzucenie na pożarcie żelaznemu elektoratowi Trybunału Konstytucyjnego, wprowadzenie tam policji Marcina Kierwińskiego nie zamieni się w sukces wyborczy, a nade wszystko nie skróci kolejek do specjalistów i nie obniży cen na stacjach paliw. Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego z taką zapiekłością sam Tusk i jego flagowe media drążą i ciągną temat blokowania przez Karola Nawrockiego niekonstytucyjnej ustawy związanej z ceną paliw. Prezydent się nie cofnie, bo nie może, ale rząd ma instrumenty, których może użyć do obniżenia cen na stacjach bez tej kuriozalnej ustawy. Wydaje się, że nie ma już znaczenia dla tej destrukcyjnej ekipy, co zdarzy się dziś, jutro, pojutrze z Polską i Polakami, bo jedynym celem tej ekipy jest anihilacja opozycji i zmiażdżenie prezydenta, i to wszelkimi dostępnymi środkami.

To gra brutalna, ale mająca przecież swój kres. Kres podczas październikowych wyborów w 2027 roku. Można zadać sobie pytanie, a z jakim kapitałem politycznym ta koalicja przystąpi do nich? Co pokaże i co opowie Polakom, dajmy na to, za rok? Wszystkie znaki na niebie i ziemi pokazują, że Tusk i jego koalicjanci będą po prostu mieli puste ręce, w dodatku ubrudzone w brudnej kampanii, a na plecach pełen bagaż zaniechań i niespełnionych obietnic. Iluzoryczna wydaje się nadzieja, że rosnące zagrożenie rosyjskie skupi wyborców wokół rządu jako strażnika naszego bezpieczeństwa. Ale Tusk będzie oczywiście grał tą kartą aż do zdarcia. Dziś widać wyraźnie, że arsenał spraw, które mają pogrążyć opozycję, jest na wyczerpaniu. Jeszcze kilka tygodni można ciągnąć sprawę Zondacrypto, można obrzucać Karola Nawrockiego najgorszymi epitetami, można całą opozycję „umoczyć" w rosyjskie powiązania i ślady, ale rzeczywistość, ta, w której żyją Polacy, a nie władza, to obraz bezwładu państwa we wszystkich kluczowych dla ludzi sprawach – od zdrowia po naukę. Rząd Tuska jest wypalony praktycznie pod każdym względem, dlatego nie pozostaje mu już nic innego, jak wszelkimi sposobami przekonać wyborców, że PiS i Karol Nawrocki to czyste zło. Nie ma stuprocentowej gwarancji, że to ślepa uliczka, że im się to nie uda. Bardziej jednak prawdopodobne jest straszne dla Tuska i jakże dobre dla Polski jego ciężkie lądowanie na śmietniku historii. Tę magiczną, specyficznie polską granicę cierpliwości bardzo trudno jest bowiem uchwycić i jej nie przekroczyć.

eprasa.pl 0fd3c58127

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Sam o sobie mówił, że jest „katolikiem rzymskim niewierzącym” i „starym marksistą”. Zarazem należał do najważniejszych konserwatywnych publicystów w czasach, gdy Radio Maryja cieszyło się ogromną słuchalnością i miało istotne przełożenie na sytuację polityczną w kraju. Zagościł również na łamach „Tygodnika Solidarność”.
W **nr. 40 (733) opublikowanym 4 października 2002 roku Paweł Paliwoda** rozmawiał z prof. **Bogusławem Wolniewiczem** o kondycji Zachodu, jego duchowej substancji, elitach, religii, globalizacji i nadchodzącym zderzeniu cywilizacji. Przypominamy tę rozmowę z okazji 45-lecia naszego pisma.



Kryzys Zachodu

***Paweł Paliwoda**: – Czy świat zachodni chyli się ku upadkowi?*

Prof. Bogusław Wolniewicz: – Chyba jeszcze nie, ale wytwarza kulturowe jady, które coraz głębiej naciekają i niszczą samą jego substancję duchową. W sferze politycznej jest nim na przykład anarchosyndykalizm z jego ideologią „równych żołądków”; w społecznej – freudyzm z jego hasłami „samorealizacji” i przyzwalania na wszystko; w religijnej – tak zwany ruch „Nowej Ery” i jego irracjonalistyczne neopogaństwo.

– Kto nam realnie zagraża?

– Od zewnątrz Azja – te niedożywione miliardy, którym nasza reklama i telewizja co dzień pokazują bajeczne dla nich luksusy Zachodu, jak choćby czysta woda do picia. Aż się prosimy, by po nie przyszli i je nam zabrali.

– Czy większym zagrożeniem dla świata zachodniego nie jest niszczycielskie działanie jego własnych elit?

– Jakich „elit”? Nie ma żadnych, jest tylko pospólstwo, które się dorwało do koryta, jak w naszym Sejmie. Słowo „elita” pochodzi od łacińskiego „electi” i znaczy „wybrani”. To wybranie polega nie na tym, że zajmuje się jakieś stanowisko czy posadę, lecz na tym, że ma się inną hierarchię wartości i umie myśleć w skali państwa i dobra ogółu. Oraz na tym, że potrafi się narzucić sobie samemu niezbędną ascezę i karność. Widzę u nas tylko jedną grupę tak wyróżnioną: duchowieństwo katolickie. Oznaką jego wyróżnienia jest celibat, który wynosi je ponad ogół, nadaje stanowi duchownemu rys arystokratyczny. Dlatego jest dziś tak zajadle atakowany – i wcale nie ze strony kleru, lecz przez świeckich postępowiczów, których najmniej powinien obchodzić.

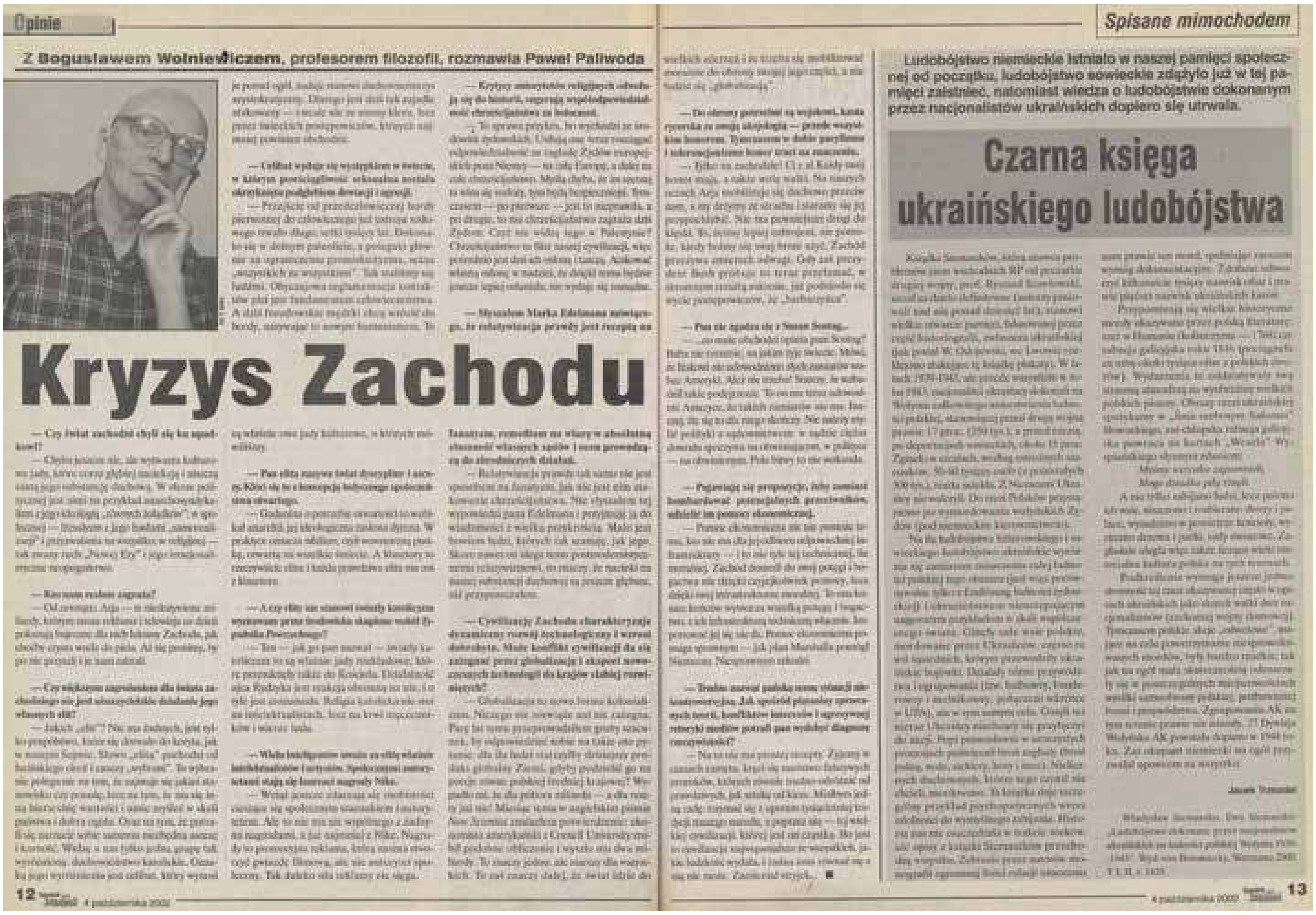
– Celibat wydaje się występkiem w świecie, w którym powściągliwość seksualna została okrzyknięta podglebiem dewiacji i agresji.

– Przejście od przedczłowieczej hordy pierwotnej do człowieczego już ustroju rodowego trwało długo, setki tysięcy lat. Dokonało się w dolnym paleolicie, a polegało głównie na ograniczeniu promiskuityzmu, seksu „wszystkich ze wszystkimi”. Tak staliśmy się ludźmi. Obyczajowa reglamentacja kontaktów płci jest fundamentem człowieczeństwa. A dziś freudowskie mędrki chcą wrócić do hordy, nazywając to nowym humanizmem. To są właśnie owe jady kulturowe, o których mówiliśmy.

– Pan elitą nazywa świat dyscypliny i ascezy. Kłóci się to z koncepcją ludycznego społeczeństwa otwartego.

– Gadanina o potrzebie otwartości to wehikuł anarchii, jej ideologiczna zasłona dymna. W praktyce oznacza nihilizm, czyli wewnętrzną pustkę, otwartą na wszelkie śmiecie. A klasztory to rzeczywiście elita; i każda prawdziwa elita ma coś z klasztoru.

eprasa.pl 0fd3c58127



– A czy elity nie stanowi światły katolicyzm wyznawany przez środowiska skupione wokół „Tygodnika Powszechnego”?

– Ten – jak go pan nazwał – światły katolicyzm to są właśnie jady rozkładowe, które przeniknęły także do Kościoła. Działalność ojca Rydzyka jest reakcją obronną na nie, i o tyle jest zrozumiała. Religia katolicka nie stoi na intelektualistach, lecz na krwi męczenników i wierze ludu.

– Wielu inteligentów uważa za elitę właśnie intelektualistów i artystów. Społecznymi autorytetami stają się laureaci Nagrody Nike.

– Wciąż jeszcze zdarzają się osobistości cieszące się społecznym szacunkiem i autorytetem. Ale to nie ma nic wspólnego z żadnymi nagrodami, a już najmniej z Nike. Nagrody to promocyjna reklama, którą można stworzyć gwiazdę filmową, ale nie autorytet społeczny. Tak daleko siła reklamy nie sięga.

– Krytycy autorytetów religijnych odwołują się do historii, sugerują współodpowiedzialność chrześcijaństwa za Holocaust.

– To sprawa przykra, bo wychodzi ze środowisk żydowskich. Usiłują one teraz rozciągać odpowiedzialność za zagładę Żydów europejskich poza Niemcy – na całą Europę, a dalej na całe chrześcijaństwo. Myślą chyba, że im szerzej ta wina się rozłoży, tym będą bezpieczniejsi. Tymczasem – po pierwsze – jest to nieprawda, a po drugie – to nie chrześcijaństwo zagraża dziś Żydom. Czyż nie widzą tego w Palestynie? Chrześcijaństwo to filar naszej cywilizacji, więc pośrednio jest dziś ich osłoną i tarczą. Atakować własną osłonę w nadziei, że dzięki temu będzie jeszcze lepiej osłaniała, nie wydaje się rozsądne.

– Słyszałem Marka Edelmana mówiącego, że relatywizacja prawdy jest receptą na fanatyzm, remedium na wiarę w absolutną słuszność własnych sądów i ocen prowadzącą do zbrodniczych działań.

– Relatywizacja prawdy tak samo nie jest sposobem na fanatyzm, jak nie jest nim atakowanie chrześcijaństwa. Nie słyszałem tej wypowiedzi pana Edelmana i przyjmuję ją do wiadomości z wielką przykrością. >

Mało jest bowiem ludzi, których tak szanuję, jak jego. Skoro nawet on ulega temu postmodernistycznemu relatywizmowi, to znaczy, że nacieki na naszej substancji duchowej są jeszcze głębsze, niż przypuszczałem.

RELIGIA KATOLICKA NIE STOI NA INTELEKTUALISTACH, LECZ NA KRWI MĘCZENNIKÓW I WIERZE LUDU.

– Cywilizację Zachodu charakteryzuje dynamiczny rozwój technologiczny i wzrost dobrobytu. Może konflikt cywilizacji da się zażegnać przez globalizację i eksport nowoczesnych technologii do krajów słabiej rozwiniętych?

– Globalizacja to nowa forma kolonializmu. Niczego nie rozwiąże ani nie zażegna. Parę lat temu przeprowadziłem gruby szacunek, by odpowiedzieć sobie na takie oto pytanie: dla ilu ludzi starczyłby dzisiejszy produkt globalny Ziemi, gdyby podzielić go na porcje równe polskiej średniej krajowej? Wypadło mi, że dla półtora miliarda – a dla reszty już nic! Miesiąc temu w angielskim piśmie „New Scientist” znalazłem potwierdzenie: ekonomista amerykański z Cornell University zrobił podobne obliczenie i wyszło mu dwa miliardy. To znaczy jedno: nie starczy dla wszystkich. To zaś znaczy dalej, że świat idzie do wielkich zderzeń i że trzeba się mobilizować moralnie do obrony swojej jego części, a nie łudzić się „globalizacją”.

– Do obrony potrzebni są wojskowi, kasta rycerska ze swoją aksjologią – przede wszystkim honorem. Tymczasem w dobie pacyfizmu i tolerancjonizmu honor traci na znaczeniu.

– Tylko na Zachodzie! Ci z Al-Kaidy swój honor mają, a także wolę walki. Na naszych oczach Azja mobilizuje się duchowo przeciw nam, a my drżymy ze strachu i staramy się jej przypochlebić. Nie ma pewniejszej drogi do klęski. To, żeśmy lepiej uzbrojeni, nie pomoże, kiedy boimy się swej broni użyć. Zachód przeżywa zmierzch odwagi. Gdy zaś prezydent Bush próbuje to teraz przełamać, w skromnym zresztą zakresie, już podniosło się wycie postępowiczów, że „barbarzyńca”.

– Pan nie zgadza się z Susan Sontag...

– ...co mnie obchodzi opinia pani Sontag? Baba nie rozumie, na jakim żyje świecie. Mówi, że Irakowi nie udowodniono złych zamiarów wobec Ameryki. Ależ nie trzeba! Starczy, że wzbudził takie podejrzenie. To on ma teraz udowodnić Ameryce, że takich zamiarów nie ma. Inaczej, źle się to dla niego skończy. Nie należy mylić polityki z sądownictwem: w sądzie ciężar dowodu spoczywa na obwiniającym, w polityce – na obwinionym. Pole bitwy to nie wokanda.

– Pojawiają się propozycje, żeby zamiast bombardować potencjalnych przeciwników, udzielić im pomocy ekonomicznej.

– Pomoc ekonomiczna nic nie pomoże temu, kto nie ma dla jej odbioru odpowiedniej infrastruktury, i to nie tyle tej technicznej, ile moralnej. Zachód doszedł do swej potęgi i bogactwa nie dzięki czyjejkolwiek pomocy, lecz dzięki swej infrastrukturze moralnej. To ona koniec końców wytwarza wszelką potęgę i bogactwo, z ich infrastrukturą techniczną włącznie. Importować jej się nie da. Pomoc ekonomiczna pomaga sprawnym – jak plan Marshalla pomógł Niemcom. Niesprawnym szkodzi.

– Trudno nazwać Pańską ocenę sytuacji niekontrowersyjną. Jak spośród plątaniny sprzecznych teorii, konfliktów interesów i agresywnej retoryki mediów potrafi Pan wydobyć diagnozę rzeczywistości?

– Na to nie ma prostej recepty. Żyjemy w czasach zamętu, kręci się mnóstwo fałszywych proroków, których

TO, ŻEŚMY LEPIEJ UZBROJENI, NIE POMOŻE, KIEDY BOIMY SIĘ SWEJ BRONI UŻYĆ. ZACHÓD PRZEŻYWA ZMIERZCH ODWAGI.

równie trudno odróżnić od prawdziwych, jak sztukę od kiczu. Miałbym jedną radę: trzymać się z uporem tysiącletniej tradycji naszego narodu, a poprzez nią – tej wielkiej cywilizacji, której jest on cząstką. Bo jest to cywilizacja najwspanialsza ze wszystkich, jakie ludzkość wydała, i żadna inna równać się z nią nie może. Zamieniał stryjek...

eprasa.pl 0fd3c58127

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Spokój Trzaskowskiego

Referendum w Warszawie nie będzie. Stołeczna Operacja Referendalna zebrała 111 tys. podpisów pod wnioskiem o odwołanie prezydenta Rafała Trzaskowskiego i Rady Warszawy, a więc 20 tys. mniej niż wymagany próg. To wystarczająco dużo, by mówić o niepowodzeniu akcji, ale jednocześnie zbyt mało, by uznać ją za politycznie nieistotną.

Od samego początku było wiadomo, że niezwykle trudno będzie o powtórkę sukcesu referendalnego z Krakowa, choć jednocześnie wydawało się, że sam próg dotyczący rozpisania głosowania jest w zasięgu organizatorów SOR.

Ostatecznie nie udało im się jednak doprowadzić do masowej mobilizacji, która przekroczyłaby granice środowisk już krytycznych wobec obecnych władz miasta. Chociaż akcja nabrała pewnego rozpędu, to na ostatniej prostej – pomimo zapewnień organizatorów – dynamika okazała się niewystarczająca. Powodów takiego stanu rzeczy było przynajmniej kilka, choć nie o nich chcę pisać.

Niepowodzenie SOR oznacza, że Rafał Trzaskowski wychodzi z tego starcia politycznie wzmocniony. Po pierwsze, oddalił od siebie widmo referendum, które kładło się na jego działaniach w ostatnim czasie coraz dłuższym cieniem. Dość powiedzieć, że prezydent Warszawy stał się np. bardzo aktywny w mediach społecznościowych. Trzaskowski może więc triumfować. Jego przeciwnicy postawili sobie konkretny, łatwy do zmierzenia cel i choć mogą oni teraz mówić o dużej mobilizacji społecznej, to fakt pozostaje faktem – nie udało się przekroczyć nawet pierwszego ustawowego progu.

Prezydent Warszawy otrzymuje więc możliwość powrotu do swojej agendy i realizowania programu bez wiszącej nad ratuszem perspektywy kampanii referendalnej. To z kolei oznacza realizację kolejnych ideologicznych pomysłów w stolicy. Tyle że nie takich spod tęczowej flagi, lecz bardziej wyrafinowanych. Jeśli wczytamy się w strategię rozwoju Warszawy 2040+, to nagle okazuje się, że ulice trzeba generalnie zwężać, a miejsca parkingowe likwidować, bo ruch samochodowy jest zły.

W Warszawie mieszkam od urodzenia, ale przyznam, że tak źle jeszcze nie było. Nie ma żadnej organizacji i koordynacji w remontach, a stolica rzuca swoim mieszkańcom kolejne kłody pod nogi. Oczywiście, są rzeczy, które warto pochwalić, jak chociażby komunikacja miejska, ale jednocześnie widać, że od kiedy w ratuszu zasiadł Rafał Trzaskowski, który – jak wiemy – ambicje ma znacznie szersze, to rewolucja w mieście ruszyła pełną parą. Cóż, dochodzi do tego, że Warszawa szczyci się „nowym Placem Centralnym”, który zielony jest chyba tylko na wizualizacjach, albo osławioną kładką pieszo-rowerową nad Wisłą, bo nowy most zdecydowanie wykracza poza horyzonty włodarzy. Najważniejsze jednak, że jest „nowocześnie” i „europejsko”. A że nic za tym nie idzie? Kto by się tym przejmował.

eprasa.pl 0fd3c58127

Putina trzeba by WYMYŚLIĆ

Tuż po drugiej wojnie światowej komuniści, w Polsce, ale też w wielu innych krajach (np. w Czechosłowacji), swoje kampanie wyborcze, referendalne i w ogóle polityczne prowadzili pod hasłem: kto nie jest z blokiem rządowym, ten **chce powrotu Niemców**.

Piotr Skwieciński



Fot. Adobe Stock

Było to rzecz jasna absurdalne, ale też horrory okupacji były jeszcze tak bliskie, że choć ta linia propagandowa była kuriozalnie nielogiczna, to narracja ta miała jakąś nośność, w jakimś stopniu do kogoś trafiała. Zresztą, jej główną funkcją było propagandowe uzasadnianie fizycznego terroru – zagrożenie „powrotem Niemców" i jego domniemany związek z tym, że nie wszyscy chcieli „zachować

eprasa.pl 0fd3c58127

patriotyczną jedność" polegającą na wszechstronnym podporządkowaniu się komunistom, było wprawdzie bijącą w oczy fikcją, ale miało służyć uzasadnieniu łamania kości, a ono było jak najbardziej realne.

Nie mogę pozbyć się wrażenia, że dziś, 81 lat później, dzieje się coś podobnego. Idzie oczywiście o zagrożenie rosyjskie traktowane przez obóz rządzący w Polsce (ale też przez siły liberalno-lewicowe dominujące w innych krajach) jako swego rodzaju polityczny łom. Jako narzędzie do moralnej (w perspektywie może nie tylko moralnej) delegalizacji oponentów i zagnania, drogą emocjonalnego szantażu, jak największej części społeczeństw do szeregów subordynowanych wobec liberalno-lewicowych elit.

Oczywiście to podobieństwo jest tylko w pewnym zakresie. Chociażby dlatego, że dziś rządzący politycy i ich zaplecze nikogo nie mordują i raczej nie wsadzają do więzień. I dlatego, że dziś, inaczej niż w latach 40., istnieje autentyczny pluralizm mediów – tradycyjnych i społecznościowych (choć właśnie on miałby, w intencji sił hegemonistycznych, stać się główną ofiarą „frontu antyrosyjskiej jedności" w zinstrumentalizowanej przez rządzących wersji). Także dlatego, że – last not least – Niemcy wtedy leżały na łopatkach i zagrożenie z ich strony było czystą fantazją, czego nie da się obecnie powiedzieć o zagrożeniu rosyjskim. A przecież intelektualny pomysł, leżący u podstaw obu kampanii, jest podobny.

***

Przy czym w Polsce chodzi o wykorzystanie historycznie ukształtowanego (i, dodajmy, uzasadnionego nie tylko przez historię, ale i dzisiejszą politykę Moskwy) stosunku Polaków do Rosji dla podtrzymanie rządu Tuska, i uniemożliwienie przejęcia władzy przez prawicę. Na Zachodzie doraźne cele wyborcze też są w grze, ale zarazem starcie odbywa się tam na znacznie bardziej finezyjnej, intelektualnej płaszczyźnie.

Idzie o obronę całego, zbudowanego przez kilkadziesiąt lat rosnącej dominacji obozu liberalno-lewicowego, kształtu świata coraz bardziej pękającego pod naporem niewydolności i sprzeczności. Chodzi o to, żeby odwrócić uwagę od tych niewydolności i sprzeczności, będących integralną częścią bronionej konstrukcji, i ukształtować obraz rosyjskich ingerencji jako jeśli nie jedynej, to głównej przyczyny narastających na Zachodzie problemów. Na tej płaszczyźnie Rosja – to wymówka, potrzebna, by nie dostrzegać pełnej skali krachu liberalnej polityki ostatnich dekad.

ROSJA TO WYMÓWKA, POTRZEBNA, BY NIE DOSTRZEGAĆ PEŁNEJ SKALI KRACHU LIBERALNEJ POLITYKI OSTATNICH DEKAD.

Taka perswazja uprawiana jest bardzo powszechnie, na wszystkich możliwych poziomach intelektualnych. Na chyba najwyższym jej mistrzem jest, przeistoczony z historyka w aktywistę, Timothy Snyder.

Marlène Laruelle z rzymskiego Luiss University w ciekawym eseju zrównała go ostatnio – jako propagandzistę – z czołową postacią obozu przeciwnego, putinowskim filozofem Aleksandrem Duginem. Łączy ich, jak zauważa, wspólna „metoda badawcza", czyli postrzeganie świata jako manichejskiej dychotomii dobra i zła. Tyle że utożsamianego z innymi obozami, bo dla Dugina absolutnym złem jest Zachód z jego upadkiem tradycji, a dla Snydera – tradycjonalistyczni krytycy tegoż Zachodu, identyfikowani, rzecz jasna, z Rosją i jej agenturą wpływu.

Snyder, według Laruelle, nadal podziela „charakterystyczne dla Zachodu po 1989 roku przekonanie, że historia toczy się po wyznaczonych torach: rynki wytwarzają demokrację, demokracja przynosi dobrobyt, a jedyną rozsądną postawą wobec przyszłości jest po prostu czekać, aż nadejdzie". Taki jest – jadowici francuska profesor – wkład Snydera w debatę zapoczątkowaną przez teorię „końca historii" Francisa Fukuyamy. Snyder – uważa Laruelle – wzywa, aby nie porzucać wiary w ten liberalny determinizm, bo gdy to przekonanie upada, jego zdaniem, „społeczeństwo przestaje wierzyć w jakąkolwiek przyszłość i wycofuje się do narracji, w której własny naród jest wiecznie niewinny i wiecznie zagrożony".

Społeczeństwa pogrążają się w tej narracji, ponieważ przestają wierzyć w postęp, a wtedy upadają. Jest to przekonanie bliźniacze do Duginowskiego, według którego społeczeństwa upadają, ponieważ przestają wierzyć w tradycję. Innymi słowy, „obie wizje są teoriami idealistycznymi, które omijają trudniejsze pytanie: jakie instytucjonalne i ekonomiczne rozwiązania wytworzyły rozpacz lub dekadencję, które opisują. A teoria, która wszystko wyjaśnia kryzysem wiary, nigdy nie musi pytać, czy wierzący mieli powody,

eprasa.pl 0fd3c58127

by przestać wierzyć. Dugin sprowadza trajektorię świata do upadku tradycji; Snyder – do cyklicznych powrotów totalitaryzmu".

Snyder (którego Laruelle określa jako „człowieka, który pozbawił słowo «faszyzm» znaczenia", używając go wobec wszystkich, których nie lubi) według francuskiej profesor oferuje coś na kształt teologii liberalizmu – przedstawiając liberalizm jako wybór moralny, będący wręcz istotą moralności, a nie jako uwarunkowane historycznie osiągnięcie polityczne. Przy czym przedstawia go jako moralny system, zagrożony dziś przede wszystkim przez Rosję.

Tymczasem „liberalizm jako porządek polityczny nie znalazł się w obecnym kryzysie dlatego, że Putin odkrył [rosyjskiego, faszyzującego filozofa] Iljina albo dlatego, że myśl Dugina przeniknęła do polityki zagranicznej Kremla. Liberalizm dotarł do tego punktu wskutek własnych decyzji podejmowanych przez dziesięciolecia. Wskutek postępującego procesu zdominowania wszystkich innych sektorów gospodarki przez sektor finansowy, zdominowania podkopującego poziom i strukturę wynagrodzeń w społeczeństwach, które obiecywał materialnie wydźwignąć. Wskutek triumfalizmu po 1989 roku polityki zagranicznej, która uczyniła ze Stanów zarządcę globalnego porządku, co przez wielu ludzi spoza Zachodu było postrzegane nie tyle jako liberalny uniwersalizm, ile jako przymus i narzucanie dyscypliny rynkowej; oraz pogłębiającej się przepaści między tym, co liberalne elity mówią o tym, co demokracja zapewnia, a tym, czego w rzeczywistości doświadcza znaczna część ich własnych społeczeństw".

> „DUGIN SPROWADZA TRAJEKTORIĘ ŚWIATA DO UPADKU TRADYCJI; SNYDER – DO CYKLICZNYCH POWROTÓW TOTALITARYZMU".

Przy zaistnieniu żadnego z tych czynników – pisze Laruelle – nie był obecny „rosyjski czarny charakter". Tymczasem Snyder – proroczy obrońca liberalizmu – zaczął w swym pisarstwie uprawiać gatunek, w którym wyjaśnienie procesów społecznych sprowadza się do oddziaływania „zewnętrznego czynnika deprawującego". Od siebie dodajmy, że jest to szkoła intelektualna podobna do uprawianej przez wielu polskich konserwatystów, którzy obyczajowy trumf liberalizmu na Zachodzie tłumaczą kolejnymi demonicznymi lewackimi spiskami, nie dostrzegając wewnętrznej dynamiki społeczeństw.

> WRÓG PRZEDSTAWIONY W KATEGORIACH ABSOLUTNYCH JEST NAJLEPSZYM MOŻLIWYM ALIBI.

„Obrońcy «walczącej demokracji» – stwierdza Francuzka – mają tendencję do interpretowania każdej dyskusji o porażkach liberalizmu jako ustępstwa wobec sił populistycznych, służącego Putinowi lub normalizującego nieliberalizm. Ale liberalna demokracja, która nie potrafi odróżnić krytycznej analizy od kapitulacji, już zaakceptowała część apokaliptycznej logiki, której rzekomo się przeciwstawia. Snyder i Dugin – konkluduje – potrzebują siebie nawzajem, aby istnieć, ponieważ wróg przedstawiony w kategoriach absolutnych jest najlepszym możliwym alibi, by nie przyglądać się wystarczająco uważnie temu, czego zabrakło we własnym domu".

***

Na naszym, wewnętrznym poletku to wszystko przedstawiane jest prościej. Jeśliby Rosja i Putin nie istnieli, to dla dobra światowego porządku liberalno-lewicowego należałoby ją i jego wymyślić.

Czasami bywa to śmieszne. Na przykład „GW" piórem Bartosza Wielińskiego wzywa czytelników do akcesu do klubu „ambasadorów Wyborczej", co oznacza, mówiąc prościej, żeby w zamian za korzyści natury prestiżowej płacili więcej za prenumeratę. Argumentując to... zagrożeniem ze strony Rosji i koniecznością, żeby w obliczu tegoż „trzymać się razem".

To pocieszne. Rozbawienie przechodzi jednak, kiedy Wieliński zapowiada, że w obliczu rosyjskich prowokacji „w redakcji «Wyborczej» zwieramy szeregi", bo „na dziennikarzach w tym trudnym czasie spoczywać będzie szczególna odpowiedzialność. To my będziemy dostarczać ludziom wiedzę o wydarzeniach i demaskować rosyjską dezinformację. W czasie kryzysu

eprasa.pl 0fd3c58127

będziemy pracować odpowiedzialnie, bez szukania sensacji". Czy jeśli dopatrzę się w tym zapowiedzi, że w ramach tego „nieszukania sensacji" dziennikarze „GW" będą wyciszać wszystko, co uznają za rosyjską dezinformację – przy tym oczywiście, by strawestować klasyka, za „rosyjską dezinformację taką, jak my ją rozumiemy", wykażę się nadmierną podejrzliwością?

Bywa jednak również zupełnie nieśmiesznie. Na przykład, kiedy Bartosz Kramek w tejże „Wyborczej" mówi wprost, że „Tusk i umowni demokraci [...] nie wypromowali [...] opowieści, w której wielką rolę ma do odegrania zarówno Ukraina, jak i Rosja – pierwsza jako krytyczny dla naszego bezpieczeństwa sojusznik i partner, druga – jako historyczny, faktyczny wróg i egzystencjalne zagrożenie". Bo przecież „Rosja jest zarówno rzeczywistym, jak i idealnym narracyjnie wrogiem", a „każda dobra opowieść wymaga wyrazistego antagonisty". Dlatego Kramek marzy o tym, by pojawiła się „partia prawdziwie liberalna – gospodarczo i światopoglądowo, proeuropejska, proniemiecka i proukraińska – i pryncypialnie antyrosyjska. I – nie bójmy się tego powiedzieć – proimigrancka".

***

Z zagrożenia rosyjskiego jest naprawdę tysiąc i jeden pożytków. Na przykład – kiedy już w zachodnich mediach, tradycyjnych i społecznościowych, fala zachwytów nad Polską, nad panującą w niej czystością, bezpieczeństwem i rozwojem gospodarczym przyjmuje taką skalę, że zaczyna to być dostrzegane również w naszym kraju, i Mateusz Mazzini w „Polityce", i Witold Mrozek w „GW" stosują ten sam chwyt. Próbują skojarzyć tę falę zachwytów z... rosyjską dezinformacją i z rosyjską narracją o Rosji. Bo przecież Polacy nie powinni być z siebie dumni, tylko się wstydzić.

***

Rosją i rosyjskim zagrożeniem można bowiem wyjaśnić wszystko. Trochę tak, jak przedwojenni antysemici postrzegali żydowski spisek jako zarazem i komunistyczny, i kapitalistyczny.

Oczywiście istnieją fundamentalne różnice. Dziś Rosja spiskuje przeciw Zachodowi naprawdę, a figura wszechogarniającej żydowskiej konspiracji była przejawem paranoi. Ale jest i inna. Dla antysemitów Żyd był autentycznym celem, zaś dla obecnych „rusofobów ostatniej godziny" (którzy nie demonstrowali przesadnie swojej antyrosyjskości w okresie tuskowego resetu) bicie w Rosję jest rytualno-instrumentalne. Chodzi o uderzenie za pomocą tego narzędzia we wszystkich sprzeciwiających się libleftowemu paradygmatowi.

Dlatego też sądzę, że co mądrzejsi spośród nich tak naprawdę, w głębi serca, klęski Moskwy wcale sobie nie życzą. Bo wtedy znikłby poręczny straszak.

I co, z ich punktu widzenia, jeszcze gorsze – gdyby na skutek tej klęski Rosja popadła w smutę, podobną do lat 90., to wśród Polaków skokowo i w wielkim stopniu złagodniałby strach przed tym sąsiadem.

A ten strach jest kluczowym czynnikiem skłaniającym nas do pozostawania w strukturach europejskich w sytuacji, w której materialne korzyści z przynależności do UE zaczynają się wyczerpywać, intensyfikuje się natomiast proces uzurpowania przez instytucje unijne kompetencji państw członkowskich oraz realizowany przez nie nacisk w kwestiach kulturowych i ideologicznych. Zresztą również sojusz z USA pociąga za sobą rozmaite przymusy, ograniczenia i, mówiąc po ludzku, poniżenia dla naszego kraju. Prawdopodobne więc, że nagłe wyparowanie Rosji spowodowałoby w Polsce gwałtowny wzrost tendencji emancypacyjnych i suwerennościowych, przy czym zarówno wobec Unii, jak i Ameryki.

NAGŁE WYPAROWANIE ROSJI SPOWODOWAŁOBY W POLSCE GWAŁTOWNY WZROST TENDENCJI EMANCYPACYJNYCH I SUWERENNOŚCIOWYCH, PRZY CZYM ZARÓWNO WOBEC UNII, JAK I AMERYKI.

***

Swoją drogą, ciekawy byłby pewien myślowy eksperyment. Interesująco byłoby mianowicie dowiedzieć się, jak zachowałoby się wielu spośród tych, którzy obecnie przodują w takiej, jak naszkicowana powyżej, antyrosyjskości i nagonkach na prawicę za jej rzekomą prorosyjskość, gdyby Władimir Putin w pewnym momencie nie zmienił ideologicznej witryny? Gdyby agresję przeciw Ukrainie realizował bez haseł o walce z „Gejropą", LGBT i „cywilizacją Epsteina"?

Mówiąc ostrożnie – nie wydaje mi się, żeby w takiej rzeczywistości antyrosyjski ogień gorzał w nich aż z taką siłą.

eprasa.pl 0fd3c58127



Powtórka z Brunona Kwietnia

Fot. Adobe Stock

To wygląda poważnie, a zarazem bardzo znajomo. Czy mamy do czynienia z realnym zagrożeniem, czy kolejną operacją medialną, **zasłoną dymną**, która na chwilę ma nas czymś zająć lub sprawić, że w poczuciu zagrożenia zwrócimy się ku władzy? Odpowiedź na to pytanie zależy z pewnością od tego, na ile ufamy rządowi i podlegającym mu służbom. A z zaufaniem tym, jak wiadomo, bywa różnie. Nie bez powodu.

Krzysztof Karnkowski

Na pierwszy rzut oka wszystko układa się w gotową historię o udaremnionym zamachu. We wrześniu funkcjonariusze ABW zatrzymali na Śląsku dwóch 16-latków, Kacpra K. i Wiktora Ś., aktywnych, według Agencji, w internetowych środowiskach neonazistowskich i ekstremistycznych. Na ich telefonach i komputerach miały znajdować się materiały dotyczące masowych zabójstw, zamachów i tzw. samotnych strzelców, a także treści rasistowskie i antysemickie. Pierwszy z chłopców trafił na trzy miesiące do schroniska dla nieletnich, drugi do policyjnej izby dziecka. ABW podkreślała wówczas, że dopiero odtwarza sieć ich kontaktów i próbuje ustalić, czy za radykalizacją nastolatków stały inne osoby. Kilka dni później sprawa nabrała znacznie poważniejszego charakteru. 18 września zatrzymano 17-letniego Pawła G., który usłyszał trzy zarzuty, w tym przygotowywania zamachu terrorystycznego, w którym zginąć miało wiele osób, oraz udziału w zorganizowanej grupie mającej popełniać przestępstwa o charakterze terrorystycznym. Według śledczych w zabezpieczonej korespondencji pojawiały się rozmowy o atakach na szkołę i meczet, obserwowaniu potencjalnych celów oraz zdobyciu broni i innego wyposażenia. 20 września sąd zdecydował o trzymiesięcznym areszcie nastolatka. Śledztwo rozrosło się przy tym

eprasa.pl 0fd3c58127

poza pierwszą trójkę: ABW informowała o kolejnej osobie z województwa łódzkiego oraz o małoletnim obywatelu Niemiec, który miał deklarować gotowość do ataku z użyciem broni.

Między trollingiem a terroryzmem

Realne zagrożenie czy nadgorliwość służb? Jak daleko rzeczywiście zaszły przygotowania, a gdzie zaczyna się już ich medialny obraz? Z publicznie dostępnych informacji wynika przede wszystkim istnienie radykalnego środowiska internetowego, niebezpiecznej korespondencji i planów zdobycia uzbrojenia. Nie pokazano dotąd gotowego ładunku, zgromadzonego arsenału ani ustalonego terminu ataku. Warto więc zachować jednocześnie dwie myśli: nastoletni wiek i internetowa forma działalności wcale nie czynią zagrożenia fikcyjnym, ale równie pochopne byłoby przyjmowanie bez zastrzeżeń najbardziej alarmistycznej wersji wydarzeń. Pomiędzy „dzieciakami piszącymi głupoty w sieci" a gotową organizacją terrorystyczną istnieje bardzo szeroka przestrzeń – i właśnie ustalenie, gdzie w niej znajdowali się zatrzymani, jest dzisiaj najważniejszym pytaniem. Internet zareagował raczej rozbawieniem niż zaniepokojeniem. Mocno wpłynęły na to nazwy rzekomych organizacji, w których mieli udzielać się młodzi ludzie. O ile jednak „Bierut Soldier ZNB" wygląda na młodzieńczy trolling, z równie zabawnym dla wielu obserwatorów „Atomwaffen Poland" sprawa może, choć nie musi, być poważniejsza. Sama nazwa odwołuje się bowiem do Atomwaffen Division, amerykańskiego neonazistowskiego środowiska powstałego w połowie poprzedniej dekady wokół forum Iron March. Nie była to zwykła internetowa grupka od prowokacyjnych memów: Atomwaffen promowało tzw. akceleracjonizm, czyli przekonanie, że należy za pomocą przemocy i terroru przyspieszyć rozpad istniejącego porządku społecznego, a w jego miejsce stworzyć rasistowskie, narodowosocjalistyczne państwo.

Zagraniczne tropy

Członkowie i osoby związane z tym środowiskiem byli łączeni z zabójstwami, planami przemocy i szkoleniami z użyciem broni; szczególne miejsce w jego ideologii zajmowała „Siege" Jamesa Masona, gloryfikująca terror i model autonomicznych, luźno powiązanych komórek. Nie jest więc to nazwa, która pojawiła się dopiero przy obecnych zatrzymaniach, przewijały się też przez nią polskie wątki. W 2021 r. Belltower.News opisał próbę stworzenia „Atomwaffen Division Europe", grupy liczącej około 25 osób z kilku państw. Jej prywatny kanał na Telegramie miał zostać założony przez Polaka, a w środowisku pojawiali się nieletni, rozmowy o zdobywaniu broni i propagowaniu przemocy. Ten sam materiał wskazywał, że polski uczestnik projektował również logo dla planowanego polskiego odgałęzienia Atomwaffen. Nie ma natomiast jak na razie żadnego dowodu, by zatrzymani chłopcy mieli realne związki z tamtą strukturą, być może tylko przeczytali o niej w internecie. Pamiętajmy, że mamy do czynienia raczej z pewną wywrotową marką, nie – jednolitą organizacją. Jedynie śledztwo może wykazać, czy mieliśmy do czynienia z niesympatycznym wygłupem, czy początkiem czegoś poważniejszego. Oczywiście jeśli będzie to śledztwo uczciwe, a nie element politycznej intrygi mającej utrzymywać społeczeństwo w poczuciu ciągłego zagrożenia. Tymczasem mamy już w naszym kraju mało chlubną tradycję rozdymania podobnych spraw i ich wykorzystywania propagandowego. Najgłośniejsze przypadki to kwestia spalenia budki przed ambasadą Rosji oraz sprawa Brunona Kwietnia.

> WEDŁUG ŚLEDCZYCH W ZABEZPIECZONEJ KORESPONDENCJI POJAWIAŁY SIĘ ROZMOWY O ATAKACH NA SZKOŁĘ I MECZET ORAZ ZDOBYCIU BRONI I INNEGO WYPOSAŻENIA.

Zarzuty jak wyroki

Zwłaszcza ta druga sprawa budzi skojarzenia z niedawnymi zatrzymaniami. Zacznijmy jednak od początku. Brunon Kwiecień wszedł do zbiorowej wyobraźni od razu jako niemal „polski Breivik", tym bardziej że od zamachów na wyspie Utoya minął wówczas dopiero rok. Oficjalna wersja, przedstawiona 20 listopada 2012 r. podczas spektakularnej konferencji ABW i Prokuratury Apelacyjnej w Krakowie, mówiła o doktorze chemii, który od miesięcy przygotowywał zamach na najważniejsze osoby w państwie. Celem miał być Sejm podczas posiedzenia z udziałem prezydenta, premiera i ministrów, najlepiej w trakcie prac nad budżetem. Kwiecień

eprasa.pl 0fd3c58127

miał planować użycie wojskowego transportera SKOT wypełnionego około czterema tonami materiału wybuchowego na bazie saletry, prowadzić rozpoznanie okolic parlamentu, werbować ludzi, organizować szkolenia i próbne detonacje. Prokuratura przedstawiała go jako człowieka zradykalizowanego, zafascynowanego Breivikiem i zamachem w Oklahoma City, gotowego za pomocą przemocy wywołać polityczny przewrót. Oprawa medialna odpowiadała wadze tej opowieści. Konferencja odbyła się w siedzibie ABW, pokazywano zabezpieczoną broń, wyposażenie, materiały chemiczne oraz nagrania eksplozji, a media przez cały dzień relacjonowały sprawę jako udaremnienie bezprecedensowego zamachu terrorystycznego. Operację opisano jako „wielki sukces ABW", przekazano społeczeństwu informacje o „czterech tonach materiałów wybuchowych" i „grupie zbrojnej"; szybko ujawniano też kolejne szczegóły z życia podejrzanego. „Rzeczpospolita" zauważyła, że o ile sama operacja mogła być przeprowadzona prawidłowo, wątpliwości budzi sposób ogłoszenia sukcesu, wyjątkowo efektowny i odbywający się akurat w czasie dyskusji o ograniczeniu kompetencji ABW. Już w tym miejscu pojawia się podobieństwo do obecnej sprawy zatrzymanych nastolatków. W obu przypadkach służby i prokuratura bardzo szybko przedstawiły opinii publicznej najbardziej alarmistyczną wersję wydarzeń: w 2012 r. były to cztery tony materiału wybuchowego, SKOT i zamach na całe kierownictwo państwa, dziś – „zorganizowana grupa", plan masowego zamachu i środowisko Atomwaffen. Różnica między materiałem dowodowym a jego medialnym opakowaniem nie oznacza jeszcze, że zagrożenie było lub jest fikcyjne, ale każe zachować ostrożność, zwłaszcza gdy najbardziej sugestywne szczegóły zaczynają żyć własnym życiem, zanim zostaną zweryfikowane w procesie. To ostatnie typowe jest zresztą dla spraw politycznych w czasach Waldemara Żurka (wcześniej – Adama Bodnara) i upolitycznionej przez resort sprawiedliwości prokuratury. Nieudowodnione zarzuty usłużne media i politycy koalicji rządzącej mylą z niewydanymi jeszcze wyrokami, a oskarżenia same żyją już w przestrzeni publicznej jako prawomocne wyroki. Czy będzie to sprawa Zbigniewa Ziobry, ks. Michała Olszewskiego i urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, czy – jak ostatnio – afera Zonda Crypto.

> OSOBY ZWIĄZANE Z TYM ŚRODOWISKIEM BYŁY ŁĄCZONE Z ZABÓJSTWAMI, PLANAMI PRZEMOCY I SZKOLENIAMI Z UŻYCIEM BRONI.

Ile wolno służbom

Proces rozpoczął się w styczniu 2014 r. przed Sądem Okręgowym w Krakowie i należał do wyjątkowo rozbudowanych: przesłuchiwano blisko stu świadków, w tym pięciu incognito, wśród których znajdowali się funkcjonariusze ABW działający pod przykryciem. Część materiału była niejawna i sąd odsłuchiwał nagrania operacyjne w specjalnie zabezpieczonej sali. Kwiecień nie negował, że rozważał i opracowywał zamach na Sejm, ale twierdził, że został zainspirowany i sprowokowany przez ludzi związanych ze służbami; jego obrońcy przekonywali, że padł ofiarą nielegalnej gry operacyjnej ABW. Prokuratura przedstawiała przeciwną wersję: plan miał narodzić się wcześniej, Kwiecień sam szukał współpracowników, gromadził sprzęt i odczynniki, filmował okolice Sejmu i podejmował realne przygotowania. 21 grudnia 2015 r. sąd pierwszej instancji w pełni przyjął wersję oskarżenia i skazał Kwietnia na 13 lat więzienia. Na tym etapie oficjalna opowieść była więc niemal kompletna: radykał z fachową wiedzą chemiczną, konkretny plan, wielotonowa bomba, grupa pomocników i skuteczna akcja ABW, która zapobiegła tragedii. Dopiero późniejsze postępowanie apelacyjne zaczęło tę konstrukcję wyraźnie komplikować. Jednak już po drodze społeczny odbiór sprawy zaczął się załamywać. Wiele osób zwracało uwagę na fakt,

> W UZASADNIENIU PADŁO ZNAMIENNE STWIERDZENIE, ŻE „PAŃSTWO NIE MOŻE WODZIĆ OBYWATELA NA POKUSZENIE".

eprasa.pl 0fd3c58127

że choćby zdjęcia szuflady Kwietnia, mającej być dowodem na jego ciemne zamiary nie ujawniły tak naprawdę niczego nadzwyczajnego (tu nie sposób uciec od skojarzenia z dwoma piwami jako pretekstem do odebrania dzieci rodzicom), że w rzekomej grupie zamachowców znaleźli się ostatecznie sami agenci (zauważmy, że nazwisko domniemanego wanna-be terrorysty pochodzi od czwartego miesiąca w roku, co przewrotnie koresponduje z książką Gilberta K. Chestertona „Człowiek, który był Czwartkiem" o trochę podobnym mechanizmie działania), że mamy do czynienia raczej z osobą wymagającą opieki niż surowej kary. Na wydanej w 2013 r. płycie Kultu „Prosto" znalazła się „Bomba na parlament" Kazika Staszewskiego – utwór o służbach specjalnych, które potrzebują zagrożenia, by uzasadniać własną pozycję, kompetencje i środki. „Rzeczpospolita" opisywała go jako piosenkę o służbach „odnajdujących się w każdym układzie politycznym". Z kolei 28 lutego 2016 r., już po wyroku pierwszej instancji, angielski oddział Narodowego Odrodzenia Polski zorganizował pod ambasadą RP w Londynie pikietę pod hasłem „Wolność dla Brunona Kwietnia i Janusza Walusia". NOP określało proces Kwietnia jako sfingowany i przedstawiało go jako więźnia politycznego.

Śmierć bez kary śmierci

W kwietniu 2017 r. nastąpił częściowy zwrot akcji. Sąd Apelacyjny w Krakowie podtrzymał zasadnicze ustalenie, że Kwiecień rzeczywiście przygotowywał zamach, ale obniżył karę z 13 do 9 lat i jednocześnie zakwestionował część sposobu działania ABW. Z opisu czynu usunięto zachowania, których inicjatywa wychodziła od funkcjonariuszy działających pod przykryciem, przede wszystkim część próbnych detonacji. W uzasadnieniu padło znamienne stwierdzenie, że „państwo nie może wodzić obywatela na pokuszenie", a agenci powinni zachowywać się pasywnie, dokumentując zamiary podejrzanego, zamiast zachęcać go do kolejnych działań. Brunon Kwiecień nie doczekał końca kary. 6 sierpnia 2019 r., mając 52 lata, został znaleziony martwy w celi Zakładu Karnego nr 1 we Wrocławiu. Kilka tygodni wcześniej, 27 czerwca, do sądu wpłynął jego wniosek o warunkowe przedterminowe zwolnienie; według obrońcy Kwiecień liczył, że wkrótce wyjdzie na wolność i wcześniej nie skarżył się na poważne problemy zdrowotne. Sekcja zwłok wykazała jednak chorobowy krwotok podpajęczynówkowy, nie stwierdzono też obrażeń wskazujących na udział osób trzecich. Oficjalną wersję zgonu zakwestionowali ostatni sojusznicy Kwietnia – koledzy z NOP, do którego przystąpił na niedługo przed aresztowaniem. Według stanowiska tej organizacji do uwięzienia naukowca doszło w chwili, gdy planował przenieść swą aktywność na niwę polityczną. Jak było, pewnie nigdy się nie dowiemy, ale pewne jest, że wiele osób udało się nastraszyć, gdy taka była polityczna potrzeba. I że Brunon Kwiecień pojawił się na ustach wszystkich w chwili, gdy bardzo wielu osobom było to na rękę.

BRUNON KWIECIEŃ POJAWIŁ SIĘ NA USTACH WSZYSTKICH W CHWILI, GDY BARDZO WIELU OSOBOM BYŁO TO NA RĘKĘ.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl 0fd3c58127

Panteon świeckich świętych obecnej władzy

Bohaterowie rządzącej koalicji muszą być w jakiś sposób **ześwinieni**. Nie mogą mieć ideałów, a wartościami powinni gardzić jako czymś zatęchłym i kompletnie zbędnym. Nie powinni mieć kręgosłupa, by łatwiej można było z nich ulepić dowolną figurkę.

Mariusz Staniszewski



Fot. Łukasz Dejnarowicz / Forum

Każda władza potrzebuje bohaterów, punktów odniesienia, wzorów do naśladowania. Gdy weźmie na sztandary ludzi prawych, zdolnych do poświęceń i heroizmu, to wyznacza standardy, których później trudno dotrzymać. Dotkliwie przekonało się o tym PiS, stawiając na piedestale rotmistrza Witolda Pileckiego czy Jana Pawła II. Jak takie wzorce korespondowały z powierzeniem funkcji wiceministra Łukaszowi Mejzie, tolerowaniem arogancji Jacka Kurskiego czy podłości, tchórzostwa i bezideowości Krzysztofa Czabańskiego.

Wyborcy PiS doświadczali dysonansu poznawczego – nakreślony model moralny nie przystawał do realnego postępowania. Im dłużej partia Jarosława Kaczyńskiego rządziła, tym bardziej wyrazisty był kontrast. Zwolennicy prawicy wymagają przestrzegania reguł i minie dużo czasu, zanim znów zaufają tym, którzy potraktowali ich instrumentalnie.

Koalicja Obywatelska nie ma tego dylematu. Od swoich bohaterów nie wymaga przyzwoitości, uczciwości czy bohaterstwa. Cnotą jest raczej dwulicowość, fałsz, cynizm i pogarda dla naiwnych, którzy ciągle wierzą, że prawda ma znaczenie.

Analfabeta z piedestału

Nikt nie może mieć dziś żadnych wątpliwości, że Lech Wałęsa był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Znamy treść jego raportów, wiedzieliśmy dokumenty potwierdzające kwitowanie pieniędzy i wiemy, na kogo donosił. Choć formalnie

eprasa.pl 0fd3c58127

współpraca zakończyła się w 1976 r., to jednak ciągle zaskakujące jest, jak wielu członków jego kancelarii – gdy był już prezydentem – także była zarejestrowana jako tajni współpracownicy SB lub po prostu pracowała w resorcie spraw wewnętrznych.

Paradoks agenturalnej przeszłości Wałęsy jest taki, że im bardziej mroczna przeszłość wychodziła na światło dzienne, tym bardziej zbliżał się do środowiska Adama Michnika, Koalicji Obywatelskiej i lewicy. Dziś jest jednym z głównych bohaterów obecnej władzy. Donosicielstwo, sprzedawanie przyjaciół nie jest dla niej przeszkodą, by „Bolka" brać na sztandary. Aby chronić go przed odpowiedzialnością za składanie fałszywych oświadczeń lustracyjnych, zrobili nawet z Wałęsy analfabetę, który miał być na tyle pozbawiony umiejętności pisania i czytania, że nie był w stanie pisać donosów.

W ramach obrony ekipa Donalda Tuska zrobiła więc z własnego bohatera kompletnego imbecyla. W normalnych okolicznościach powinno to byłego prezydenta całkowicie zdyskredytować, ale przecież wszyscy wiedzą, że chodzi o zwykłe oszustwo. To zaś dla obecnej władzy nie jest ani wstydliwe, ani kompromitujące. Umiejętność okłamywania – wyszukanego lub prostackiego – to dla niej zaleta, gdyż jest dowodem poczucia wyższości nad motłochem, który prawica patetycznie nazywa narodem.

Cwaniak w czerwonych spodniach

Media niemal nie zauważyły informacji o śmierci Izabeli Majewskiej, emerytki z Torunia, która została skazana za rok pozbawienia wolności w zawieszeniu i tysiąc złotych zadośćuczynienia na rzecz Jerzego Owsiaka. Wszystko to z powodu zamieszczonego w internecie wpisu krytykującego szefa Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Wobec kobiety państwo zadziałało z wyjątkową konsekwencją i brutalnością. Zaledwie kilkanaście godzin po zamieszczeniu komentarza, dwadzieścia minut po szóstej rano pod jej drzwiami pojawiła się policja. Funkcjonariusze zabrali ją na komendę, a następnie trafiła do prokuratury. Przesłuchiwania trwały kilka godzin.

Wyrok był surowy mimo przeprosin złożonych przez kobietę przed sądem. Jej mąż nie ma wątpliwości, że została zaszczuta. Bała się wychodzić z domu, nawet w sprawach urzędowych. Do końca jednak była przekonana o swojej niewinności, choć proces kosztował ją wiele zdrowia.

Za krytykę Jerzego Owsiaka ścigany jest także dwudziestoletni mężczyzna z niepełnosprawnością intelektualną. Chłopak, który na co dzień uczęszcza do szkoły specjalnej, został zakuty w kajdanki, przewieziony na komendę i przesłuchany bez obecności obrońcy. Sprawą zajął się Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że to działanie pokazowe wskazujące na nietykalność szefa Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Człowieka, który z działalności charytatywnej zrobił świetnie prosperujący biznes dla całej rodziny. Jego sprawozdania finansowe budzą wątpliwości i pokazują, że kilkadziesiąt procent zebranych pieniędzy nie jest przeznaczonych na zakup sprzętu. Kasa leży zresztą na kontach WOŚP latami, generując ogromne odsetki, zamiast służyć pacjentom.

Owsiak, syn milicjanta i brat ormowca, nigdy nie krył swojego poczucia wyższości wobec ludzi o poglądach prawicowych. Obrażał ich przy każdej okazji, kiedyś nawet na nich szczekał. Z zebranych przez młodzież pieniędzy sfinansował nawet antypisowską kampanię pod hasłem walki z sepsą.

Gwiazdy na służbie

W panteonie świeckich świętych obecnej władzy znajduje się zastęp artystów, którzy uwierzyli w swoją nadprzyrodzoną moc. Daniel Olbrychski, kiedyś krzepki Andrzej Kmicic, dziś zionący nienawiścią starzec, uznaje, że Polacy nie dorośli do demokracji, gdyż na prezydentów wybrali Andrzeja Dudę i Karola Nawrockiego. Ta nieskrywana pogarda wobec myślących inaczej idzie w parze z wiernopoddańczymi gestami wobec Donalda Tuska i obściskiwaniem się z komunistą i apologetą Armii Czerwonej Włodzimierzem Czarzastym.

> DONOSICIELSTWO, SPRZEDAWANIE PRZYJACIÓŁ NIE JEST DLA OBECNEJ WŁADZY PRZESZKODĄ, BY „BOLKA" BRAĆ NA SZTANDARY.

Jeszcze dalej w swojej służalczości posuwa się Andrzej Seweryn, który bezapelacyjnie popiera premiera i nie przyjmuje do wiadomości słów krytyki wobec niego. Jego była żona, Krystyna Janda, przyznaje się, że stara się nie zauważać istnienia prezydenta Karola Nawrockiego i nie przyjmuje do wiadomości innych poglądów niż jej.

W tym szeregu można by ustawić jeszcze Artura Barcisia, Michała

eprasa.pl 0fd3c58127

Żebrowskiego, Joannę Szczepkowską czy Olgierda Łukaszewicza. Wszystkich ich łączy poczucie wyższości nad większością społeczeństwa, która głosowała na Karola Nawrockiego lub po prostu jest przywiązana do tradycyjnych wartości. „Polacy nie stają się Europejczykami" – mówił w wywiadzie Łukaszewicz, jakby chodziło o przejście w wyższy stan świadomości. Oni, wybrańcy, go doświadczyli, motłoch trzeba batożyć, by zrozumiał.

Warto przy tym pamiętać, że Olbrychski chwalił się znajomością z Władimirem Putinem, Żebrowski sporo zarobił, grając w propagandowej rosyjskiej produkcji „1612" o wygnaniu Polaków z Kremla, Seweryn pisał wiernopoddańcze listy do komunistycznego zbrodniarza gen. Czesława Kiszczaka, a Janda i Olbrychski byli pupilami komunistycznej władzy. Łączy ich więc wyjątkowa giętkość kręgosłupów.

Listek figowy generała

Wśród „niekwestionowanych autorytetów" znajduje się prof. Ewa Łętowska, która została rzecznikiem praw obywatelskich w czasie rządów gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Realnie pełniła jednak raczej funkcję listka figowego autorytarnej władzy, która do końca swojego istnienia dokonywała skrytobójstw, zamachów na przeciwników władzy w kraju i za granicą oraz grabieży majątku narodowego.

Prof. Łętowska nie protestowała, gdy w 1989 roku mordowano księży Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowolca czy Sylwestra Zycha, choć było wówczas jasne, że system totalitarny się wali.

Choć powinna stać się symbolem kolaboracji z komunistami, uznano ją za autorytet prawniczy, który feruje wyroki w sprawach dotyczących łamania praworządności. Jakby przeszłość nie istniała. Można by to uznać za chichot historii, ale w rzeczywistości Ewa Łętowska idealnie pasuje do tej układanki.

Kanonizował ją jeszcze gen. Jaruzelski, sowiecki namiestnik w Polsce.

Zbrodniarz na salonach

Do rangi symbolu urasta zmiana na stanowisku ambasadora w Rzymie. Radosław Sikorski odwołał z tej funkcji Annę Marię Anders, córkę gen. Władysława Andersa, a usiłuje powołać Ryszarda Schnepfa, syna Maksymiliana Schnepfa komunistycznego zbrodniarza, który uczestniczył m.in. w obławie augustowskiej. Zginęło lub zaginęło ponad 800 żołnierzy antykomunistycznego podziemia, a około 7000 zostało aresztowanych.

Oczywiście dzieci nie odpowiadają za grzechy rodziców, ale w rodzinie Schnepfów pamięć o Maksymilianie jest powodem do dumy. Nie ma mowy o odcięciu się od zbrodniarza i jego czynów. Jego syn i synowa publicznie chwalą się medalami pułkownika, który wojskową karierę zaczynał w Armii Czerwonej.

Sytuacja jest o tyle charakterystyczna, że wpisuje się w lewicowo-liberalną koncepcję przemielenia pamięci: pomieszania zbrodniarzy z bohaterami, uznania, że wszyscy mieli swoje racje i walczyli w dobrej sprawie, a przelewaniu polskiej krwi winne są obie strony. Według tej wersji historii nie ma już podziału na zdrajców, którzy mordując żołnierzy Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych, ustanawiali w Polsce władzę obcego, wrogiego mocarstwa, i patriotów do końca walczących o wolność.

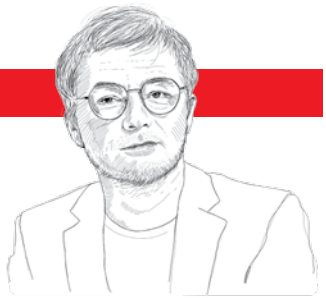
Właściwie chodzi o uznanie, że opór był bezsensowny, a nawet zbrodniczy, bo prowadził do rozlewu krwi. Cnotą ma być uległość wobec silniejszych sowietów i budowanie z nimi nowej Polski. A honor, heroizm i niezłomność są tylko dla naiwniaków i frajerów.

JERZY OWSIAK, SYN MILICJANTA I BRAT ORMOWCA, NIGDY NIE KRYŁ SWOJEGO POCZUCIA WYŻSZOŚCI WOBEC LUDZI O POGLĄDACH PRAWICOWYCH.

DANIEL OLBRYCHSKI UZNAJE, ŻE POLACY NIE DOROŚLI DO DEMOKRACJI, GDYŻ NA PREZYDENTÓW WYBRALI ANDRZEJA DUDĘ I KAROLA NAWROCKIEGO.

eprasa.pl 0fd3c58127

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Kraków: hejnał symetrystów?

Jan Wróbel

Wynik PiS w Krakowie był zły, ale komentarze samego kandydata i jego przełożonych głoszą co innego. Jarosław Kaczyński powiedział, że wynik był bardzo dobry (przypomnę, że kandydat nie wszedł do drugiej tury). Ba, nawet lepszy: „lepszy niż większość sondaży, jak i lepszy niż przeciętny wynik PiS w dzisiejszych sondażach". Michał Drewnicki powiedział, że był nawet zadziwiony wynikiem tak dobrym – 17%. Ba, był z niego „dumny". Jacek Sasin, mówiąc o tym trzecim miejscu, promieniał i uznał, że to „wynik obiecujący".

Wydaje mi się, że obiecujący porażkę w wyborach parlamentarnych.

Rozumiem, że w wielu dużych miastach PiS w ogóle nie jest faworytem. Wybory lokalne i w trybie nadzwyczajnym w ogóle mogą przynieść zaskakujące rezultaty. Krótko mówiąc, mogło być znacznie gorzej, a obeszło się bez kompromitacji. Realnym powodem do zadowolenia był jednak nie wynik Drewnickiego, a kandydatki KO. Dostała mniej głosów, niż w poprzednich wyborach otrzymał Aleksander Miszalski!

No tak, ale prawdziwym wygranym był Łukasz Gibała, a jego sukces nie wróży PiS dobrze. Z deklaracji dumnych pisowców mogłoby wynikać, że skoro KO miało słaby wynik (chociaż znacznie lepszy niż PiS), to naszym zaświeciło słońce. Trudno zrozumieć podstawy takiego rozumowania. Jeżeli bowiem Kraków pokazał, że etykietka „jestem z wielkiej partii" szkodzi, a nie pomaga, to sypie się podstawowy powód, dla którego tak wiele osób głosuje na wielkie partie. Ten powód to nie wizja rozwijającego się, praworządnego i bezpiecznego kraju, lecz pragnienie, by Ta Inna Duża Partia dostała wyborczym kijem po łbie.

Kraków pokazuje, że istnieje inny wybór niż negatywne głosowanie przeciwko PiS albo przeciwko KO. Można głosować na kogoś przeciw urojonej agenturze niszczącej Rzeczpospolitą.

> KRAKÓW POKAZUJE, ŻE ISTNIEJE INNY WYBÓR NIŻ NEGATYWNE GŁOSOWANIE PRZECIWKO PiS ALBO PRZECIWKO KO.

Ludzie zmęczeni popisem politycznym wypatrują jak kania dżdżu sygnałów, że polaryzacja pęka. Nic dziwnego, że dobry wynik Łukasza Gibały, który pokonał w pierwszej turze i KO, i PiS, znowu ożywił nadzieję, że kłamstwo nadawane przez Dużych stanie się formatem mniejszości głosujących. Tyle że, znowu, w przypadku prawdopodobnego (wcale nie przesądzonego!) triumfu Gibały zobaczymy szybkie starania o koalicję na poziomie miejskim. Bez radnych KO będzie o nią niezwykle trudno.

Dlaczego, czasem, udaje się na poziomie lokalnym to, co nie udaje się na poziomie centralnym? O ileż łatwiej byłoby nam powrócić do uspokajających reform w wymiarze sprawiedliwości, gdyby spór o TK i KRS nie był sporem partyjnym, lecz takim normalnym, politycznym? Gdyby prezydent, premier, minister sprawiedliwości, jego możliwy następca z opozycji częściej myśleli o nas niż o swoich polaryzacyjnych kalkulacjach?

Cóż, kiedy przychodzi co do czego, popieramy przy urnach konflikt bez nadziei, a nie nadzieję.

eprasa.pl 0fd3c58127

Asystencja osobista
– oczekiwany projekt czy prawna niedoróbka?

Asystencja osobista to wsparcie dla osób z niepełnosprawnościami w codziennych czynnościach. Może to być pomoc w ubieraniu się, wykonaniu zastrzyku, w pracy zawodowej czy w zejściu z czwartego piętra na ulice. Asystent to jednak **nie opiekun**. W asystencji nie chodzi o wyręczanie niepełnosprawnego, ale o pomoc tam, gdzie pojawiają się bariery. Co zmienią nowe przepisy i czego w nich zabrakło?

Marcin Krzeszowiec

W naszym kraju do tej pory nie udało się stworzyć systemowego rozwiązania dla tego rodzaju usług.

Asystencja osobista co prawda działa od 2019 roku, ale jako rozwiązanie doraźne. Każdego roku minister rodziny, pracy i polityki społecznej ogłasza kolejną edycję dla dwóch programów resortowych. Pierwszy z nich to Program „Asystent osobisty osoby z niepełnosprawnością" dla Jednostek Samorządu Terytorialnego, a drugi to Program o takiej samej nazwie, tylko dla Organizacji Pozarządowych. Oba działają i są finansowane w ramach Funduszu Solidarnościowego. W przyszłym roku JST otrzymają na ten cel 1,2 mld zł, a NGO-sy 320 mln zł.

Być może już wkrótce zastąpi je rządowa ustawa o asystencji osobistej osób z niepełnosprawnościami uchwalona jednogłośnie przez Sejm 18 września. Nowe przepisy mają wejść w życie od 2028 roku pod warunkiem, że uzyskają zgodę Senatu, a później podpis prezydenta. Ministerstwo szacuje, że skorzysta na nich ok. 100 tys. osób z niepełnosprawnościami oraz mniej więcej pół miliona członków ich rodzin.

Asystencja osobista ma być świadczona w każdym powiecie na terenie kraju i to właśnie powiat będzie odpowiedzialny za jej organizację i realizację. Władze powiatowe będą mogły również powierzyć te zadania gminie lub np. organizacji pozarządowej. Koszty usług będą nadal pokrywane z budżetu państwa.



Fot. Adobe Stock

Asystencja osobista – dla kogo?

W 2028 roku z asystencji osobistej będą mogły skorzystać osoby od 18. do 65. roku życia, które uzyskają co najmniej 80 punktów w skali poziomu potrzeby wsparcia. Asystent będzie mógł im pomagać w wymiarze od 20 do 240 godzin miesięcznie.

Dwa lata później, w 2030 roku, usługa stanie się dostępna także dla niepełnosprawnej młodzieży od 13. roku życia wzwyż, choć tutaj wymiar asystencji będzie mniejszy – od 20 do 80 godzin.

Niewykorzystane godziny mają przechodzić na kolejny miesiąc, choć nie wszystkie. Limit ustalono na niewięcej niż 50 proc. miesięcznego wymiaru godzin i nie więcej niż 100 godzin.

Co zrobić, aby w ogóle otrzymać prawo do asystenta? Trzeba będzie złożyć wniosek i otrzymać pozytyw-

eprasa.pl 0fd3c58127

ną decyzję administracyjną od wojewódzkiego zespołu do spraw orzekania o niepełnosprawności. Taka decyzja przyznająca prawo do asystencji osobistej będzie ważna nie krócej niż rok i nie dłużej niż 5 lat.

Co ważne, asystentem osoby niepełnosprawnej nie będzie mógł być ani członek rodziny, ani osoba prowadząca rodzinny dom dziecka, ani osoba pełniąca funkcję rodziny zastępczej.

Ile zarobią asystenci?

Zasadniczo rząd ustalił cztery stawki. Wahają się one od 49 do 55 zł brutto za godzinę w zależności od rodzaju wykonywanych czynności, indywidualnych potrzeb osoby niepełnosprawnej i tego, jak trudno jest do niej dojechać.

Łatwo więc policzyć, że przy 20 dniach roboczych – licząc po 8 godzin dziennie – przy najniższej stawce bazowej, asystent może zarobić miesięcznie 7840 zł brutto. Przy stawce najwyżej będzie to już 8800 zł. Co ważne, asystenci nie będą mogli pracować więcej niż 276 godzin miesięcznie, czyli mniej więcej 9 godzin każdego dnia.

Asystenci mają być zatrudniani na podstawie kontraktu, czyli **zlecenia**, a nie na bazie umowy o pracę.

Nowe przepisy gwarantują im także czas na odpoczynek. Asystentowi przysługiwać będzie jedna godzina płatnego urlopu za każde 10 godzin świadczenia pracy, ale nie więcej niż 208 godzin w ciągu roku.

Dla kogo jest ta praca?

Żeby zostać asystentem osobistym, trzeba posiadać odpowiednie kwalifikacje zawodowe, na przykład asystenta osoby niepełnosprawnej, opiekuna osoby starszej, opiekuna medycznego, pedagoga, psychologa, terapeuty zajęciowego, pracownika socjalnego, pielęgniarki, położnej, ratownika medycznego czy fizjoterapeuty.

Jeśli ktoś ich nie ma, to jeszcze nic straconego. Asystentem może być również osoba, która udzielała bezpośredniego wsparcia osobie z niepełnosprawnością w wymiarze co najmniej 120 godzin w ciągu ostatnich 5 lat przed złożeniem wniosku o wpis do Rejestru asystentów i ma to udokumentowane w ramach umowy o pracę, umowy cywilnoprawnej lub umowy o wolontariat.

Trzecią opcją jest posiadanie takiego samego doświadczenia w udzielaniu wsparcia niepełnosprawnemu członkowi rodziny. W tym przypadku trzeba zdobyć zaświadczenie lub inny dokument wystawiony przez podmiot, który posiada wiedzę o udzielaniu przez nas takiego wsparcia.

Szkolenia i zakres obowiązków

Asystent może pomagać osobie niepełnosprawnej w utrzymaniu higieny osobistej, prowadzeniu gospodarstwa domowego, zrobieniu zakupów, przygotowaniu posiłków, przemieszczaniu się, ubieraniu, jedzeniu czy komunikowaniu z innymi ludźmi.

Po odbyciu instruktażu specjalistycznego asystent może również zbadać niepełnosprawnemu ciśnienie krwi, poziom cukru glukometrem, może mu też podawać leki, cewnikować, opatrywać odleżyny czy obsługiwać podstawowy sprzęt medyczny: koncentratory tlenu, respiratory, pompy insulinowe i tym podobne.

Przed rozpoczęciem pracy każdy asystent osobisty będzie musiał przejść obowiązkowo dwa szkolenia: ogólne i z ewakuacji osób z niepełnosprawnością. Czasem potrzebne będzie też szkolenie z zakresu pierwszej pomocy, które będzie ważne przez 3 lata. W przypadku wykonywania wspomnianych już czynności specjalistycznych asystent będzie musiał dodatkowo przejść odpowiedni instruktaż.

Czego brakuje w ustawie?

Po pierwsze, z usług asystencji wykluczeni zostali seniorzy po 65. roku życia i młodzi przed 13. rokiem życia. Szczególnie zastanawiająca jest ta górna granica – tak jakby wraz z przejściem na emeryturę człowiek nie potrzebował już wsparcia.

Po drugie, asystenci mają być zatrudniani na podstawie kontraktu, czyli zlecenia, a nie na bazie umowy o pracę. To oznacza brak wielu świadczeń czy np. dodatku za pracę w porze nocnej.

Po trzecie, w ustawie nie znalazłem też zapisów mówiących o waloryzacji wynagrodzeń asystentów, co oznacza, że przepisy trzeba będzie co rusz nowelizować i targować się z politykami o podwyżki.

Wątpliwości na polu finansowym ma też Solidarność.

– Choć Ustawa o asystencji osobistej osób z niepełnosprawnościami rodzi możliwości poprawy funkcjonowania osób z niepełnosprawnościami, to powstają pytania o to, czy osoby realizujące te usługi będą odpowiednio finansowane (co obecnie przy obciążeniu ich kosztami własnymi – OC, transport, szkolenia – jest wątpliwe). Realizatorom usługi stawiane są wysokie wymagania kwalifikacyjne, a proponowane stawki wynagrodzenia są niskie. Taki stan rzeczy – bez radykalnego podwyższenia stawek – może prowadzić do sytuacji, w której system nie będzie mógł poprawnie lub w ogóle działać z uwagi na deficyt kadr – twierdzi Adam Ambroży, przewodniczący Krajowej Sekcji Pracowników Pomocy Społecznej NSZZ „S”.

eprasa.pl 0fd3c58127

„Wychodzicie ponad przeciętność”. Za nami gala kończąca XVIII edycję konkursu „Pracodawca Przyjazny Pracownikom”

Barbara Michałowska



Fot. M. Żegliński (3)

W Pałacu Prezydenckim wręczono w ubiegłą środę statuetki i certyfikaty XVIII edycji konkursu „Pracodawca Przyjazny Pracownikom”.

Karol Nawrocki: Dziękuję za cud gospodarczy

Nagrodzonym pracodawcom statuetki i certyfikaty wręczali prezydent Karol Nawrocki i przewodniczący NSZZ „Solidarność” Piotr Duda.

– Chciałem panu przewodniczącemu, inicjatorom konkursu, wszystkim państwu, laureatom, pracownikom i pracodawcom podziękować za polski cud gospodarczy, który nie zostawił człowieka i pracownika na marginesie i z boku. Państwo jesteście tego przykładem i wzorami – mówił podczas gali prezydent Karol Nawrocki.

– Polska wolność i polska niepodległość po roku 1989 rozpoczęła się od troski o pracowników. Matka Solidarności Anna Walentynowicz, gdy powstawała „S”, powiedziała, że walcząc o drugiego człowieka, walczymy o godność każdego z nas. Tak rodziła się wielka Solidarność, niejako wpisując się w fundament polskiego postrzegania odpowiedzialności za pracownika – podkreślił prezydent RP.

Zwrócił też uwagę na fakt, że polska gospodarka – dzięki wspólnemu wysiłkowi przedsiębiorców i pracowników – stała się pod względem wielkości 20. gospodarką świata.

– Jesteście państwo doskonałym przykładem dialogu pomiędzy pracodawcami a pracownikami. Dzięki temu, że taki dialog w polskich przedsiębiorstwach się odbywa, możemy dzisiaj chwalić się naszym poziomem gospodarczym i tym, że Polska gospodarka wyceniona jest na ponad bilion dolarów, że polska gospodarka jest 20. gospodarką na świecie, że PKB per capita osiągnęła pułap w bardzo szybkim tempie 80 proc. średniej UE. To dzięki temu, że człowiek stawiany jest w centrum, dzięki temu, że mamy wspaniałych pracowników i doskonałych przedsiębiorców, Prezydent RP – ja osobiście – będę mógł w grudniu brać udział po raz pierwszy w historii III RP w spotkaniu Grupy G20 – zaznaczył Karol Nawrocki.

Piotr Duda: Wychodzicie ponad przeciętność

Piotr Duda zaznaczył z kolei w swoim wystąpieniu, że udział w gali rozdania nagród w tym konkursie to dla niego jako dla związkowca zawsze bardzo ważny moment.

– Przypominam sobie 2007 rok, kiedy NSZZ „Solidarność” rozpoczął kampanię pod hasłem „Polska przyjazna pracownikom”. Patronat nad tą kampanią objął wówczas pan prezydent Lech Kaczyński. Jej zadaniem była promocja, ale przede wszystkim informowanie o właściwym podejściu

eprasa.pl 0fd3c58127



do zatrudnienia – wspominał przewodniczący Solidarności.

– Już wtedy wiedzieliśmy, że rynek pracy zaczyna w pewnej części przybierać patologiczne formy. Wszechobecne stawało się tak zwane fałszywe samozatrudnienie. Dlatego już wówczas, jako Solidarność, wiedzieliśmy, że musimy rozpocząć kampanię społeczną, aby dotrzeć zarówno do pracodawców, jak i do pracowników – mówił Piotr Duda.

Konkurs „Pracodawca Przyjazny Pracownikom”

ma na celu wyróżnienie firm i instytucji, które w swojej działalności szanują prawa pracownicze, prowadzą dialog społeczny, gwarantują stabilne zatrudnienie, dbają o bezpieczeństwo pracy i zapewniają warunki sprzyjające działalności związkowej.

Wydarzenie jest organizowane nieprzerwanie od 2008 roku pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Nagrody otrzymują zarówno przedsiębiorstwa prywatne, jak i publiczne zgłoszone do konkursu przez komisje zakładowe NSZZ „Solidarność”.

Firmy i instytucje są oceniane w konkursie według określonych kryteriów obejmujących między innymi: liczbę osób zatrudnionych na czas nieokreślony, poziom uzwiązkowienia, działalność w zakładzie społecznej inspekcji pracy, komisji ds. BHP czy rady pracowników. Pod uwagę brana jest także opinia organizacji związkowej NSZZ „Solidarność”.

– Uznaliśmy wtedy, że to za mało, że musimy także nagradzać tych pracodawców, którzy w swoich zakładach pracy stosują wysokie standardy. Także te, które sprawiają, że w zakładzie pracy może normalnie funkcjonować związek zawodowy i wykonywać swoją pracę – dodał.

Zdaniem przewodniczącego Solidarności dzisiaj wciąż nieoczywiste jest przekonanie, że „związki zawodowe w firmie nie przeszkadzają, lecz w rzeczywistości pomagają, ponieważ reprezentują załogę i prowadzą działalność społeczną”.

Przewodniczący mówił także o tym, że „Pracodawca Przyjazny Pracownikom” to wyjątkowy konkurs, bo nagrody w nim nie można sobie kupić, a w proces jej przyznania nie ingerują politycy.

– To nie jest konkurs „Pracodawca Przyjazny Politykom” – podkreślił.

Podziękował też prezydentowi Nawrockiemu za przyjęcie

eprasa.pl 0fd3c58127

zaproszenia i patronat nad kolejną edycją konkursu.

– W przyszłym roku minie już 20 lat od momentu zainicjowania konkursu. Wówczas nie musieliśmy przekonywać pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego do idei tego przedsięwzięcia. Przecież pan prezydent był wieloletnim wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej Solidarności i odpowiadał za sprawy branżowe. Jego szczególnym obszarem zainteresowania były także układy zbiorowe pracy, nad którymi tak intensywnie pracował. To właśnie pan prezydent Lech Kaczyński podczas pierwszej gali tutaj, w Pałacu Prezydenckim, 21 stycznia 2008 roku mówił, że wielki bój o wolną Polskę rozpoczął się od wielkiej walki o prawa pracownicze – wspominał przewodniczący NSZZ „Solidarność".



Podkreślał też znacznie zatrudnienia w oparciu o umowę o pracę, która „daje pracownikowi perspektywę i poczucie bezpieczeństwa". – Daje mu prawo do urlopu wypoczynkowego, płatnego zwolnienia lekarskiego czy możliwość korzystania z zakładowego funduszu świadczeń socjalnych. I to jest jeden z kluczy do realizacji postulatów z 1980 roku, bo wówczas robotnicy walczyli o podmiotowość ludzkiej pracy. I o to, o czym mówił nasz patron, ksiądz Jerzy Popiełuszko: „Niezależnie od tego, jaki wykonujesz zawód, przede wszystkim jesteś człowiekiem" – cytował.

Na koniec Piotr Duda podziękował wyróżnionym dziś pracodawcom, żartobliwie dodając, że „niecodziennie przecież związkowiec chwali pracodawcę".

– Wielu z Państwa znam i wiem, że jesteście wspaniałymi pracodawcami, którzy wychodzą ponad przeciętność. Dla Was nie jest problemem spełnianie wysokich standardów zatrudnienia, funkcjonowanie układów zbiorowych pracy, a przede wszystkim prowadzenie odpowiedzialnego dialogu społecznego. A właśnie tego odpowiedzialnego dialogu społecznego, Szanowni Państwo, dzisiaj bardzo nam brakuje – dziękował szef Solidarności.

Laureaci

W tegorocznej edycji Konkursu certyfikaty otrzymali następujący pracodawcy:

1. British-American Tobacco Polska S.A., Augustów
2. Delpharm Poznań S.A.
3. Dom Pomocy Społecznej we Włoszczowie (po raz drugi)
4. Dom Pomocy Społecznej w Kluczborku
5. EC Zagłębie Dąbrowskie Sp. z o.o., Będzin
6. ENGIE EC Słupska Sp. z o.o.
7. Federal-Mogul Gorzyce Sp. z o.o. (po raz drugi)
8. Komenda Powiatowa Państwowej Straży Pożarnej w Zambrowie
9. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne Lublin Sp. z o.o. (po raz trzeci)
10. Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku
11. Operator Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., Warszawa
12. Państwowe Gospodarstwo Leśne Nadleśnictwo Stąporków
13. Poznańskie Zakłady Zielarskie Herbapol S.A. (po raz trzeci)
14. Publiczna Szkoła Podstawowa im. Tadeusza Kościuszki w Głowaczowie
15. Publiczne Przedszkole nr 4 w Radomsku „Pod Zielonym Ludkiem"
16. Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Pionier" w Kutnie (po raz drugi)
17. Tenneco Silesia Sp. z o.o., Stanowice
18. Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 3 w Końskich
19. Zespół Szkół Specjalnych w Goleniowie
20. Przedsiębiorstwo Produkcji Kruszywa i Usług Geologicznych „Kruszgeo" S.A., Rzeszów (aż po raz czwarty)
21. XI Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Integracyjnymi im. Stanisława Staszica w Radomiu

eprasa.pl 0fd3c58127

WSPOMNIENIE

Jacek zawsze był skromnym człowiekiem



Fot. arch. prywatne autora

W poniedziałek, 28 września, pożegnaliśmy Jacka Zommera, w wolnej Polsce wieloletniego redaktora naczelnego „Wolnego Związkowca”. Jacek miał 77 lat, zmarł 24 września. Spoczął na cmentarzu w Dąbrowie Górniczej przy ul. 11 Listopada.

Od 1980 r. należał do Solidarności. Był przewodniczącym Komisji Wydziałowej na Wydziale Obróbki Mechanicznej Dąbrowskiej Fabryki Obrabiarek. W latach 80. był drukarzem, kolporterem prasy podziemnej. W latach 1983–1985 był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany. Od 1999 r. był redaktorem naczelnym „Wolnego Związkowca”. 24 maja 2019 r. został odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności – to skrócony i oficjalny życiorys Jacka, którego ja wówczas nie znałem...

Jacka poznałem blisko ćwierć wieku temu. Mój tata przyniósł wtedy z dawnej Huty Katowice „Wolnego Związkowca”, w którym Jacek opisał historię Ryszarda Kowalskiego.

Kowalski był działaczem Solidarności w jednym z przedsiębiorstw działających na terenie Huty Katowice, który po strajku w grudniu 1981 r. trafił do więzienia. Wyszedł dopiero na początku 1983 r. i wkrótce zginął w dziwnych okolicznościach.

Umówiliśmy się w redakcji, która mieściła się w niewielkim pokoiku. Jacek szybko zaproponował, byśmy przeszli na „ty”, i nasza serdeczna znajomość trwała aż do jego śmierci. Wbrew wszystkim i wszystkiemu Jacek nie miał telefonu komórkowego, dlatego jeżeli chciałem z nim porozmawiać, dzwoniłem do redakcji, a później na telefon w jego mieszkaniu. Jeżeli nie odbierał, pisałem do niego e-mail. Tak można się z nim było najszybciej skontaktować.

Jacek, którego znałem, zawsze był skromnym człowiekiem, zupełnie nie mówił o sobie, tylko o innych. Żałuję, ale nigdy nie udało mi się go namówić do dłuższej rozmowy na temat Solidarności, tej legalnej z lat 1980–1981 oraz podziemnej w czasach stanu wojennego i po nim – do 1989 r.

Jacek nigdy nie zabiegał o profity z tytułu działalności w opozycji antykomunistycznej w latach 80. Za to starał się o pomoc dla tych, którzy byli w potrzebie. Ktoś żył w biedzie i nie miał grosza na leki; ktoś inny zmarł i trzeba opłacić wykonanie nagrobka; jakiś związkowiec nigdy nie zabiegał o Krzyż Wolności i Solidarności, a przecież mu się należy...

Mam przed oczami taką sytuację. Jacek umówił mnie z panią, która w latach 80. działała w Solidarności w jednej z dąbrowskich hut. Poszliśmy do niej razem. Gdy skończyłem z nią rozmawiać, zobaczyłem, że Jacek wręcza jej kilka banknotów. Ona, choć ewidentnie ich potrzebowała, nie chciała przyjąć od Jacka pomocy, ale on delikatnie dał jej do zrozumienia, że nie może mu odmówić.

Bo tak właśnie było, Jackowi się nie odmawiało. Tym bardziej że – jak już napisałem – zabiegał o pomoc dla innych, nie dla siebie.

W maju, gdy zmarł nasz wspólny kolega Maciej Wojciechowski, również dziennikarz m.in. „Tygodnika Solidarność”, umówiliśmy się, że razem pojedziemy na jego pogrzeb. Dwie godziny przed spotkaniem Jacek zatelefonował do mnie, by powiedzieć mi, że źle się czuje i nie da rady pojechać do Sosnowca.

Później jeszcze wielokrotnie rozmawialiśmy przez telefon, ale już nigdy się nie spotkaliśmy.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 0fd3c58127

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Przyzwolenie na świństwo



Sławomir Jastrzębowski

Nie podoba mi się ten tytuł, to słowo „świństwo", to słowo „przyzwolenie". „Świństwo" – takie nieeleganckie, odrzucające, brudne, nieestetyczne, aż nie chce się czytać. To słowo „przyzwolenie" z tą podskórną pretensją, problemem, jakby żądaniem zajęcia zdecydowanego stanowiska. A przecież i mnie obezwładniło i wcisnęło w fotel, a przecież i ja, widząc to, pomyślałem: nie, to niemożliwe, one nie mogą tego mówić, one nie mogą tak się zachowywać. To niemożliwe. Mowa tu będzie nie tylko o aborcji, a ten tytuł jest zbyt delikatny.

Ustalmy na początku punkt wyjścia autora, z którym wiele osób się nie zgadza, ja rozumiem, trudno, przeżyję. Aborcja jest złem, jest zabiciem małego bezbronnego życia, oprócz zabicia dziecka rani matkę i osoby, które są w aborcje jakoś uwikłane, choćby przez wykonywanie, pomaganie, popularyzowanie czy wreszcie przywykanie. Przywykanie do zła. Zabijanie dziecka nie jest żadnym prawem człowieka, jest zabijaniem dziecka. Od poczęcia dziecko w łonie matki to dziecko, żaden płód, żaden zlepek komórek, dziecko, po prostu dziecko, choć małe.

ZABIJANIE DZIECKA NIE JEST ŻADNYM PRAWEM CZŁOWIEKA, JEST ZABIJANIEM DZIECKA.

To część przemyśleń autora o aborcji, najważniejsza. Teraz druga. Błędem było grzebanie przy aborcji w roku 2020. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego zaostrzający prawo w sprawie aborcji był słuszny i zły. Jak to? Tak to. Po tym wyroku demony bezwstydu, jawne świństwa, szokująca promocja zła wypełzła i nie chce się schować pod swoje kamienie i do zatęchłych nor. Tak, państwo powinno stworzyć warunki, żeby do aborcji nie dochodziło, żeby kobiety nie podejmowały decyzji o zabijaniu własnych dzieci, nie powinno jednak – moim zdaniem – poszerzać penalizacji, choć wydaje się słuszna i logiczna. Jak to? Tak to.

Decyzja Trybunału Konstytucyjnego mogła mieć bezpośredni wpływ na przegrane przez prawicę wybory (choć niby wygrane, ale bez możliwości rządzenia), a wreszcie uruchomiła lawinę świństw, z którą musimy żyć. Musimy?

Siedziałem w fotelu, patrzyłem w telewizor, nie mogłem uwierzyć. Jakaś dziewczyna, chyba jeszcze nie kobieta, choć z tego, co mówiła, raczej niestety już kobieta, przemawiała w Warszawie na wolnym powietrzu. Sprawność w składaniu zdań świadczyła o czytaniu przez nią napisów pod filmami, wyłącznie, a może i to nie. Nieważne, ważne, że wywrzaskiwała jawnie, w biały dzień, o kilku aborcjach, które przeszła, i chwaliła się tym publicznie, była z tego dumna, zachwalała, a zgromadzona gawiedź biła brawo. Zaraz, chwileczkę, ja do tego wrócę, bo wracam, zadając sobie i tu zadam pytanie: Ale jak to? Przez chwilę pomyślało mi się, że może jakieś nowoczesne wariackie przedstawienie,

CZY NIE PRZYSZŁO JEJ DO GŁOWY, ŻE DZIECI SPYTAJĄ JĄ KIEDYŚ: „MAMO, ZABIŁAŚ NASZEGO BRACISZKA ALBO SIOSTRZYCZKĘ, BO MIELIŚMY ZA MAŁE MIESZKANIE?".

eprasa.pl 0fd3c58127

jakiś happening teatralny, albo coś? Może oni brali jakieś narkotyki? Ale nie. Chwaliła się, że zaszła kilka razy w ciążę, zabiła dzieci i ludzie dookoła bili jej brawo. Czy wyście wszyscy powariowali? Czy ty, dziewczynko, nie wiesz, co to bezwstyd, intymność, czy ty wiesz, dziewczynko, na jakie określenie zasłużyłaś swoimi wyznaniami? Kim jesteście wy, którzy bijecie jej brawo? Normalny człowiek po takich słowach odwraca się z obrzydzeniem i odchodzi. Nikt nie odszedł, bili brawo. Świństwa nagradzanie.

A może powinniśmy reagować wcześniej, dużo wcześniej, gwałtowniej, dużo gwałtowniej? Na przykład w roku 2016, kiedy nieoceniona wkładka do pisma Adama Michnika „Wysokie Obcasy" zrobiła piosenkarkę Natalię Przybysz Superbohaterką roku 2016. Za co? Za wywiad „Pięć minut i masz z powrotem swoje życie. Naprawdę nie chciałam tego dziecka". A tam między innymi ze szczegółami o tym, że miała dwójkę dzieci, partnera, mieszkanie 60 metrów kwadratowych i zaszła w ciążę. Mieszkanie na kolejne dziecko według niej było za małe, więc wyjechała na Słowację zabić dziecko, z czego była zadowolona. Ta sama pani jest weganką, bo kocha zwierzęta, środowisko, lasy, łąki, morze i takie tam.

Zastanawiałem się i zastanawiam, czy nie przyszło jej do głowy, że dzieci spytają ją kiedyś: „Mamo, zabiłaś naszego braciszka albo siostrzyczkę, bo mieliśmy za małe mieszkanie? A jak byśmy mieli jeszcze mniejsze, to nas też byś zabiła? Mamo?".

Superbohaterką „Wysokich Obcasów" za rok 2025 została ginekolog Gizela Jagielska za wstrzyknięcie bezpośrednio w serce dziecka (9. miesiąc ciąży) chlorku potasu, trucizny, która zabiła. Dziecko było według części lekarzy zdolne do życia po urodzeniu, a według innych – nie. Aborcję wykonano oficjalnie także z powodu zagrożenia zdrowia psychicznego matki. Dziecko w 9. miesiącu ma wykształcony układ nerwowy. Zastrzyk w serce z chlorku potasu wiąże się z niewyobrażalnym bólem...

DZIECKO W 9. MIESIĄCU MA WYKSZTAŁCONY UKŁAD NERWOWY. ZASTRZYK W SERCE Z CHLORKU POTASU WIĄŻE SIĘ Z NIEWYOBRAŻALNYM BÓLEM...

Gdyby przyjąć najkorzystniejszą dla Gizeli Jagielskiej i środowiska „Gazety Wyborczej" wersję, że dziecko zmarłoby po porodzie (choć część lekarzy uznała, że mogłoby być leczone) i ten śmiertelny zastrzyk z punktu widzenia prawa ratował zdrowie psychiczne kobiety, to czy rzeczywiście zabijanie dziecka sprawia, że lekarz staje się bohaterem? Czy lekarz powinien wykonywać wyroki śmierci? Czy to trzeba nagradzać? Czy wyście powariowali?

Kojarzą Państwo Magdalenę Biejat z Nowej Lewicy? Tak, kandydatka na prezydenta Polski, w wyborach dostała 4 procent poparcia. Ale nie o tym, nie o tym. Jest coś takiego jak „Aborcyjny Dream Team", naprawdę, niestety. W mediach społecznościowych to coś poinformowało kilka dni temu: „Dziś dzień bezpiecznej aborcji. Z tej okazji jesteśmy w [...] do późnego południa i czekamy na Was. Możecie tak jak Magda Biejat wpaść do nas i opłacić komuś aborcję i wyjść z naszą bluzą". Pod tym komunikatem jest zdjęcie szczęśliwej, uśmiechniętej od ucha do ucha, z garniturem wzorowych ząbków Magdy Biejat.

Czy aborcja, której celem jest zabicie dziecka, jest bezpieczna? No, nie dla dziecka. Czy opłacenie komuś zabiegu zabicia dziecka to powód do radości? Do uśmiechu? Biejat jest matką, ma dwójkę dzieci. Pochwali się dzieciom, że zapłaciła, żeby ktoś mógł zabić dziecko?

Istnieją dwie cywilizacje, cywilizacja miłości i cywilizacja śmierci. Ta druga skazana jest na śmierć. Chce nas w nią pociągnąć.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 0fd3c58127

Imigrantami nie są jedynie uchodźcy z państw objętych wojną, „lekarze i inżynierowie”, dysydenci i Afganki pozbawione podstawowych praw przez islamski terror. Są nimi również obywatele takiego kraju jak Tadżykistan, który cierpi na **drenażu własnych obywateli**.

Hanna Szymerska

Co się stanie w TADŻYKISTANIE?



Fot. Adobe Stock

Pałac Narodu – widok z lotu ptaka; Tadżykistan, Duszanbe

Trzydzieści pięć lat temu wszystkie republiki wchodzące w skład ZSRR ogłosiły swoją niepodległość (za wyjątkiem Litewskiej SRR, która niepodległość uzyskała już w 1990 roku). Tadżykistan ogłosił ją 9 września 1991 roku, a uzyskał 26 grudnia, w dzień rozpadu Kraju Rad. Czym w zasadzie on był? Na pewno wyróżniał się wśród innych „stanów" postradzieckich, ponieważ język tadżycki w przeciwieństwie do kazachskiego, turkmeńskiego, kirgiskiego oraz uzbeckiego nie należy do grupy języków turkijskich, lecz spokrewniony jest z perskim. Sami obywatele tego państwa wyglądają inaczej niż ich sąsiedzi, bardziej przypominając z wyglądu Irańczyków aniżeli mieszkańców stepu. Przed ZSRR ziemie te miały dosyć bogatą historię wchodzenia w skład imperiów. Zawitał tu Aleksander Macedoński, perscy Samanidzi, Mongołowie, Chanaty, aż w końcu dotarł i car. Po rewolucji październikowej i powstaniu ZSRR tereny kraju weszły w skład Tadżyckiej SRR. Radziecka modernizacja przyniosła industrializację, rozwój miast i likwidację analfabetyzmu, ale jej ceną była głęboka ingerencja w sposób życia Tadżyków, ateizacja oraz pełne poddaństwo Moskwie, która uzależniła od siebie całą administrację, gospodarkę... W przededniu rozpadu ZSRR Tadżykistan stoi w rozkroku. Z jednej strony odradza się islam, a młodzi pragną zmian – w 1990 roku doszło już do masowych protestów przeciwko władzom komunistycznym i żądań legalizacji Islamskiej Partii Odrodzenia. Ale niekoniecznie zmian tak gwałtownych jak te w grudniu 1991 roku. W referendum z marca 1991 roku ponad 96 proc. głosujących w Tadżyckiej SRR opowiedziało się za zachowaniem Związku Radzieckiego.

W REFERENDUM Z MARCA 1991 ROKU PONAD 96 PROC. GŁOSUJĄCYCH W TADŻYCKIEJ SRR OPOWIEDZIAŁO SIĘ ZA ZACHOWANIEM ZWIĄZKU RADZIECKIEGO.

Stało się. Przyszła niepodległość, na którą nikt nie był gotowy. Koniec ze stabilnością zatrudnienia, koniec z odsyłaniem problemów lokalnych do centrali. W wyborach prezydenckich obywatele wybierają Rachmona Nabijewa, postkomunistę. Sytuacja staje się coraz bardziej napięta i przypomina wybór, który z naszego punktu widzenia jest tragiczny – opozycją do nowo wybranej władzy są powiązani z Talibanem zwolennicy utworzenia w Azji Centralnej kalifatu. W 1993 roku dochodzi do wojny domowej, podczas której ginie kilkadziesiąt tysięcy obywateli, a kilkaset tysięcy musi opuścić swoje miejsca zamieszkania. Z konfliktu zwycięsko wychodzi strona postkomunistyczna z Emomali Rahmonem na czele. Ten będzie rządził nieprzerwanie od 1994 roku jako trzeci prezydent państwa. Sama wojna domowa kończy się porozumieniem pisanym w Moskwie w 1997 roku. Jego władzę trudno sklasyfikować inaczej niż jako typowy dla postradzieckich republik autorytaryzm. Z jednej strony dbał o tworzenie nowego państwa odcinającego się powoli od radzieckiego dziedzictwa choćby poprzez personalną zmianę nazwiska z typowo zrusyfikowanego „Rahmonow" na rzecz „Rahmon". Z drugiej – nie chciał, by Tadżycy nazywali dzieci imionami arabskimi, które budziły silne skojarzenia z islamem. Wojna domowa wywołana rękami muzułmanów nie mogła się powtórzyć, a radykalizm uznano za wart zwalczania w zarodku. Z trzeciej strony – jest w kraju pewien kult jednostki, monopole i oligarchia.

MÓWIĄC O TADŻYKISTANIE, NALEŻY MIEĆ NA UWADZE, ŻE TERENY GÓRSKIE ZAJMUJĄ OKOŁO 90% POWIERZCHNI KRAJU.

Najgorsze możliwe położenie

Problemy Tadżykistanu nie zaczynają się i nie kończą na kwestiach historyczno-politycznych. Można bić na alarm o słupkach poparcia dla Rahmona przypominających bardziej Rosję lub Białoruś niż rzeczywiste wyniki w państwach demokracji liberalnej. Ale wielką rolę w położeniu Tadżykistanu gra również geografia, która nie była łaskawa dla stosunkowo młodego

eprasa.pl 0fd3c58127

państwa. Jest to kraj leżący w strefie o bardzo wysokiej aktywności sejsmicznej i bywa nawiedzany przez silne trzęsienia ziemi. Jak powszechnie wiadomo, góry, choć miłe dla wzroku i posiadające potencjał turystyczny, niekoniecznie są ułatwieniem dla gospodarki. Mówiąc o Tadżykistanie, należy mieć na uwadze, że tereny górskie zajmują około 90% powierzchni kraju. Drogi w nich często są nieutwardzone i kręte, a osoby zamieszkujące wysokie pasma żyją w złych warunkach bytowych; nierzadko zimą nie mają dostępu do prądu, o internecie mogą pomarzyć, zwłaszcza że problemy są również w zasięgu telefonii komórkowej. Część z nich przy większych zamieciach albo utrudnieniach nie ma jak dostać się do miasta samochodem – pomijając fakt, iż na drodze trudno wyminąć samochody, warunki są zwyczajnie niebezpieczne; niektórzy mieszkańcy mają „zapasowe" osły. Geografia nie jest sojusznikiem Tadżyków także pod kątem politycznym: Tadżykistan ma za sobą kryzys w relacjach z sąsiadującym Kirgistanem, ponieważ ten drugi oskarżył obywateli z sąsiedniego państwa o nadmierne zużywanie zasobów wodnych Azji Centralnej. Drugą kwestią jest długa granica z Afganistanem, co sprzyja rozwojowi szarej strefy i przestępczości w regionie. Trzecią – enklawy tadżyckie na terenie Kirgistanu. Czwartą – sąsiadujące Chiny wyszukujące kolejnych możliwości ekonomicznego podboju kolejnych rynków.

To nie są dobre warunki do rozwoju. Wielu młodych obywateli czuje się rozczarowanych całokształtem sytuacji, poszukując drogi podniesienia poziomu życiowego. Część, zwłaszcza ta znająca języki obce, może znajdzie zatrudnienie w turystyce – ta, wraz ze zniesieniem obowiązku wizowego dla wielu narodowości, dopiero się rozwija, ale kraj ma wiele do zaoferowania dla mniej wymagających podróżnych szukających unikalnych wrażeń. Można jeździć marszrutkami pełnymi globtroterów, korzystając z paliwa za 4,30 zł za litr, ale to sezonowe szczęście jest dostępne dla garstki mieszkańców okolic zjawiskowych Siedmiu Jezior. Notabene ta cena nie jest taka piękna, gdy uwzględni się średnie zarobki miesięczne wynoszące około 300–400 dolarów przy pensji minimalnej oscylującej około 100 dolarów. Koszty życia są stosunkowo niskie, ale trzeba być zatrudnionym i brać pod uwagę zróżnicowanie kraju. Co z tymi, którzy nie mieszkają w stolic, Duszanbe? Co z tymi, którzy nie są zamożnymi z czerwonych bądź monopolistycznych domów? Z tymi, którzy nie zakręcili się wokół turystyki? Oni muszą sobie radzić. Niektórzy próbują szczęścia za granicą.

> MOŻNA JEŹDZIĆ MARSZRUTKAMI PEŁNYMI GLOBTROTERÓW, KORZYSTAJĄC Z PALIWA ZA 4,30 ZŁ ZA LITR, ALE JEST TO DOSTĘPNE DLA GARSTKI MIESZKAŃCÓW OKOLIC ZJAWISKOWYCH SIEDMIU JEZIOR.

Migracyjne przekleństwo, czyli druga strona masowej imigracji

Rok 2024. Ośrodek Studiów Wschodnich bije na alarm – Tadżykistan jest najbardziej uzależnionym od transferów zagranicznych migrantów państwem na świecie. Udział tych transferów w gospodarce oscyluje od około jednej trzeciej do połowy całkowitego PKB kraju. Większość Tadżyków wyrusza do pracy w Rosji, najczęściej sezonowo, ale w ¼ przypadków na stałe. Mówimy o ponad milionie obywateli z dziesięciomilionowego państwa, chociaż liczba ta może być zaniżona – Rosyjska Akademia Nauk mówiła o trzech milionach, aczkolwiek liczba ta wskazywała na wjazd na teren Federacji; nie uwzględniała „wizyt u rodziny" i zwykłych wjazdów, a jedynie wskazywała na liczbę Tadżyków w kraju. Pracują na budowach, w fabrykach, jeżdżą na taksówkach, są dozorcami, znajdują zatrudnienie wszędzie tam, gdzie „Rosjanin nie chce pracować". Brzmi znajomo? 40% z nich pracuje nielegalnie. Jaki jest profil takiego imigranta? Zazwyczaj jest młody, z mniejszego ośrodka, przed trzydziestką i w czterech na pięciu przypadków jest mężczyzną – chociaż wyjeżdżają też Tadżyczki, część na studia, część za chlebem, pracując choćby jako sprzątaczki. Część z nich ma już rodziny albo przynajmniej pozostaje w związku małżeńskim. Odseparowani od swoich małżonek Tadżycy nierzadko zakładają kolejne rodziny bądź też ulegają pokusom prostytucji, przywożąc do domu tzw. chorobę rosyjską, co nie bez powodu stanowi eufemizm kiły. Wiele rodzin zostaje rozbitych. Sami mieszkający w Federacji Rosyjskiej Tadżycy nie mają łatwo – często pracują w złych warunkach, w podobnie tragicznych

eprasa.pl 0fd3c58127

mieszkają, trafiają w tzw. półświatek przez swój nieuregulowany status. Sami Rosjanie nie zawsze są przychylni imigrantom, zwłaszcza po głośnych przestępstwach dokonywanych przez obywateli Tadżykistanu, takich jak zamach w Crocus City Hall. Bywają też przypadki przestępczości narkotykowej (na szlaku biegnącym od Afganistanu) oraz... walk pomiędzy radykałami tadżyckimi a rosyjskimi, którzy swego czasu lubowali się w linczowaniu i okaleczaniu Tadżyków. W sytuacjach krytycznych agencje zatrudnienia cudzoziemców zostawiają tadżyckich pracowników na pastwę losu. A i migracja ma swoją cenę. Uzależnienie od środków z Rosji to także uzależnienie od Rosji. Rosja posiada na terenie Tadżykistanu wojsko – 201. Baza Wojskowa to największa pod względem liczby ludzi rosyjska baza wojskowa poza krajem. Tadżykistan daje także Rosji dostęp do swojej infrastruktury. Rosjanie tam stacjonujący posiadają immunitet dyplomatyczny. Siły te mają zostać wzmocnione, a sama baza będzie tam stać co najmniej do 2042 roku. Warto także zaznaczyć, że niektórym Tadżykom udało się uzyskać rosyjskie obywatelstwo. Być może część z nich przypłaci je koniecznością zabijania Ukraińców w nie swojej wojnie w nie swoich stronach.

W SYTUACJACH KRYTYCZNYCH AGENCJE ZATRUDNIENIA CUDZOZIEMCÓW ZOSTAWIAJĄ TADŻYCKICH PRACOWNIKÓW NA PASTWĘ LOSU.

Powrotu, pracy i rozwoju

Tadżycy mogą traktować język rosyjski jako lingua franca, zakładać nowe rodziny w Moskwie i uważać ją za punkt odniesienia, ale nigdy nie będą Rosjanami. W państwie o silnych strukturach klanowych i tradycjach trudno o szybkie i pełne zrusyfikowanie jednostki. Wielu Tadżyków chciałoby wrócić do swojej ojczyzny. Do tego jednak potrzebuje godnych warunków na miejscu albo przynajmniej takich, które utrzymają jego i średnio trójkę dzieci. Ministerstwo pracy mówi o stu tysiącach nowych miejsc pracy do 2040 roku, które miałyby czekać na rodzimych pracowników ze szczególnym uwzględnieniem powracających z zagranicy. A co, jeśli to się nie ziści? „Polityczni" też często wyjeżdżają. „Nie ma komu robić kolorowej rewolucji". Tadżyccy studenci, niedoszła elita intelektualna i polityczna studiuje w Rosji czy nawet w Polsce. Wróci już zapewne odmieniona albo przynajmniej pozbawiona młodzieńczego zapału. Nie ma w tej sprawie jednego dobrego rozwiązania, chociaż można mówić o czasie i rozroście znaczenia już rozpoczętych inwestycji, takich jak wydobycie rudy metali i minerałów, sprzedaż aluminium, eksport bawełny i suszonych owoców, sprzedaż nadwyżki energii elektrycznej czy rozwój turystyki. I być może „będzie lepiej". Być może liczba turystów sprawi, że na przejściu granicznym z Uzbekistanem w Sarazm dostawi się kolejne okienka strażników (a że bramek z samą kontrolą paszportową jest cztery – potencjał na nowe miejsca pracy jest). Być może ceny eksportowanych produktów pójdą w górę. Być może część elity zostanie w kraju. Natomiast na pewno Tadżykistanowi, zwłaszcza długofalowo, nie służą emigracja oraz drenaż mózgów. Obecnie sytuacja nie jest tragiczna. Państwo rozwija się stosunkowo szybko, cyfryzuje się, inwestuje w infrastrukturę (w tym w wielkie projekty energetyczne), a słupki makroekonomiczne „się zgadzają". Społeczeństwo jest dosyć młode, dzietność zapewnia zastępowalność pokoleń, a od postsowieckiego dziedzictwa się dosyć sprawnie odchodzi w aspektach kulturalnych i tożsamościowych pomimo obecności postkomunistycznych elit u władzy. Może nowy Tadżykistan jeszcze zaskoczy świat. Żeby to zrobić, musi jednak skupić się nie tylko na tym, co mówi PKB, lecz na własnym narodzie.

„POLITYCZNI" TEŻ CZĘSTO WYJEŻDŻAJĄ. „NIE MA KOMU ROBIĆ KOLOROWEJ REWOLUCJI".

Tadżycka imigracja nie szkodzi jedynie tym, którzy natkną się na jej patologiczny element, choć z w pełni słusznych powodów ta optyka jest nam najbliższa. Masowe wyjazdy Tadżyków szkodzą przede wszystkim im samym, jednostkom i ich rodzinom, które mogą z dnia na dzień pozostać bez środków do życia (a w przypadku żon emigrantów dodatkowo z „luką w CV"). I powstrzymanie tego zjawiska jest słusznie jednym z priorytetów Tadżykistanu.

eprasa.pl 0fd3c58127

Nadchodzą PORYWACZKI

Sprawa Moniki Horny-Cieślak, odpowiedzialnej za urzędowe uprowadzenie dwojga dzieci, szybko ulegnie zapomnieniu. Skoro działo się tak właściwie z **każdą bulwersującą aferą**, dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Jednak – mówiąc Kisielem – „to nie kryzys, to rezultat". Cała sprawa pokazała bowiem coś znacznie groźniejszego niż pojedyncze nadużycie władzy: w świadomości postępowej części społeczeństwa instytucjonalny kidnapping przestaje być „ostateczną ostatecznością", a staje się uzasadnionym środkiem profilaktycznym.

Ludwik Pęziot

Największym błędem byłoby myślenie, że mamy tu do czynienia ze spontanicznym „glitchem" w dobrze działającym systemie. Nie. Fanatyczna aktywistka, wypruwająca sobie żyły, żeby odbierać rodzicom dzieci na podstawie własnych histerycznych odczuć, jest produktem określonej ideologii. A fakt, że znalazła się na tak odpowiedzialnym stanowisku jak rzecznik praw dziecka, jest efektem określonego politycznego dealu. Świadczą o tym zresztą reakcje obronne na aferę, których motywacje można z grubsza podzielić na trzy kategorie.

Pierwsza to oczywiście obrona ludzi władzy za wszelką cenę. Nie jest chyba zaskoczeniem, że przodują w tym osoby odpowiedzialne za linię TVP Info. Wystarczy przypomnieć „cieplarniany" wywiad, jaki Aleksandra Pawlicka przeprowadziła z rzeczniczką. Tutaj właściwie nie ma o czym rozmawiać – jaki jest koń, każdy widzi. Druga, częściowo pokrywająca się z pierwszą, to wręcz patologiczna nienawiść salonu do Kanału Zero, który w jego oczach jest po prostu „ukrytą opcją pisowską" (trudno o większą głupotę).

Trzecia jest jednak najbardziej niepokojąca. To motywacja wynikająca z przekonania, że rodzina jest w gruncie rzeczy systemem opresyjnym. W takim ujęciu ingerencja państwa może więc być traktowana jako „profilaktyka" – i to bez wielkiej straty. Przecież nawet w razie błędu odebranie dziecka ze środowiska uznanego za złe „samo w sobie" nie jest żadną wielką tragedią. Ten sposób myślenia ujawnia się u wszystkich, którzy podnoszą argument o „uniknięciu czegoś gorszego" i wskazują na zamierzchłe, pojedyncze incydenty jako usprawiedliwienie dla tego, co wydarzyło się teraz. U wszystkich tych, którzy krytykom instytucjonalnego kidnappingu zarzucają prawicowe tendencje do przemocy w rodzinie (Magdalena Biejat), mizoginię (Agnieszka Gozdyra) albo wykorzystywanie dzieci (Janusz Schwertner). Co inteligentniejsi publicyści zdobyli się na bardziej zakamuflowane działania osłonowe. Jak choćby Tomasz Terlikowski, który wytykał „medialny lincz" na rzeczniczce (tak, ten sam Tomasz Terlikowski, który wraz z TVN-owskimi zakapiorami uprawiał pośmiertny lincz na Janie Pawle II).

I właśnie te osoby pokazują, jak prawdziwa jest zgrana do bólu fraza: „idee mają konsekwencje". Jeżeli setki dzieł popkultury, intelektualne wydaliny „zaangażowanych społecz-

eprasa.pl 0fd3c58127



Proj. K. Karnkowski

nie badaczy", aktywistki-obsesjonatki, feministki i nieświadome własnego zindoktrynowania „psycholożki" od rana do wieczora wmawiają ludziom, jak straszna i traumatogenna jest rodzina, nic dziwnego, że zmiana postrzegania tej instytucji musi prowadzić do coraz większego przyzwolenia na „ratowanie" dzieci z „rodzinnego piekła". Jeśli dodamy do tego bezkrytyczny zachwyt Zachodem, gdzie szaleją zmory w rodzaju Jugendamtu czy Barnevernetu oraz absurdalne rozciągnięcie pojęcia „przemocy" tak, by mieściło się w nim właściwie wszystko, co związane jest z hierarchią i ograniczeniem swobody dziecka, nic dziwnego, że pojawiają się tabuny bojowniczek gotowych przeniknąć do urzędów i stamtąd prowadzić swoją „wychowawczą" rewolucję.

PROCESY, KTÓRE NA ZACHODZIE DOPROWADZIŁY DO NORMALIZACJI URZĘDOWEGO KIDNAPPINGU, TOCZĄ SIĘ RÓWNIEŻ W POLSCE.

A jaka to rewolucja? Oczywiście „ekspercka". Opiera się na przekonaniu, że istnieje jakaś „wiedza obiektywna" na temat wychowania dzieci, do której dostęp mają oczywiście tylko wspomniane urzędniczki-aktywistki i współpracujące z nimi „ekspertki". I choć trudno odmówić wielu z nich licznych lektur i szkoleń na ten temat, często nie rozumieją one rzeczy zasadniczej: konkretne trendy wychowawcze są przecież także emanacją idei panującego ustroju. Ustrój, jeśli chce się reprodukować, musi wychowywać młodych kapitalistycznych demoliberałów. Najlepiej zaś robić to, przedstawiając własne założenia jako bezstronną wiedzę naukową (bo słowo „ideologia" przecież śmierdzi).

Tym samym NGO-sowe działaczki, urzędniczki i „ekspertki" często nawet nie zdają sobie sprawy, że dysponują zaledwie wycinkiem

eprasa.pl 0fd3c58127

wiedzy – starannie wyselekcjonowanym pod kątem wymogu „odtwarzania się" systemu kapitałowo-kulturowego. Elementy niewygodne można przecież skrzętnie pominąć. W systemie liberalnym rozumiany na wszelkie sposoby „autorytaryzm" (również w wychowaniu) jest jednym z najgorszych grzechów. Szkoda tylko, że równie gorliwie nie traktuje się zaniedbywania dzieci przez rodziców pochłoniętych dorobkiewiczostwem, karierą i samorealizacją. To również może być potężne źródło patologii: od uzależnień po zaburzenia psychiczne. Ale nie. To z jakiejś przyczyny jest „mniejsze zło".

Jeśli komuś mało dowodów na wpływ „ducha ustroju" na kształtowanie się wyobrażenia o „naukowym wychowaniu", przypomnijmy, że „libkowa Polska" była gotowa zabierać dzieci rodzicom nie tylko za prawdziwą lub wydumaną przemocowość, lecz również za zbyt ubogie warunki materialne. Proceder ten przerwał dopiero „znienawidzony Zbigniew Ziobro". To znakomity przykład priorytetów systemu: status materialny może okazać się ważniejszy niż więzi rodzinne. Jak przystało na system oparty na dyskretnym klasizmie – rodziny ubogie były (i są!) zagrożone odebraniem dzieci właśnie dlatego, że były ubogie. Szczęśliwie nie był to proceder szczególnie rozpowszechniony, ale być może bardziej dzięki rozsądkowi samych starych urzędników niż dlatego, że prawo stawiało tu mocną tamę. Warto zresztą zadać pytanie: czy ktoś naprawdę ośmieliłby się odebrać dzieci rodzicom wpływowym, posiadającym kontakty, pieniądze i wysoką pozycję społeczną? To chyba pytanie retoryczne.

Wspomnieliśmy wcześniej o politycznym dealu, który sprawił, że osoby pokroju Horny-Cieślak w ogóle dostały się na tego rodzaju urzędy. Wyjaśnienie wydaje się proste. Otóż w sojuszu lewicowo-liberalnym, przy podziale łupów władzy, liberałom przypadła ekonomia, zaś lewactwu – pola władzy „miękkiej", kulturowej, które dla liberałów były raczej drugorzędne. Stąd łatwość przyzwalania na pełzającą rewolucję kulturową.

Mechanizm jest banalny: skoro musimy połączyć siły w walce z prawicą, a nas interesuje kasa, trzeba nasycić lewactwo szkołą, uczelniami, polityką seksualną, przepisami rodzinnymi i całą resztą kulturowego frontu. Nas to specjalnie nie interesuje, oni będą zachwyceni, a sojusz jakoś przetrwa. I dlatego właśnie Barbara Nowacka dostaje posadę „ministry" edukacji, Katarzyna Kotula zostaje pełnomocniczką ds. równości, a Monika Horna-Cieślak – rzecznikiem praw dziecka. Liberałowie (w tym przypadku Donald Tusk) po prostu spłacają swoich sojuszników kosztem dzieci i rodziców. Widać więc, jak toksyczny, a w dłuższej perspektywie zabójczy, jest sojusz lewicy z liberałami.

Wszystko to pokazuje nam, że zbliżamy się do pewnego rodzaju krawędzi. Procesy, które na Zachodzie doprowadziły do podporządkowania rodziców postępackim modom, a także do normalizacji urzędowego kidnappingu, toczą się również w Polsce. I należy się obawiać, że wychowawcza „ekspertoza" oświeconych działaczek, rosnąca niechęć do instytucji rodziny oraz patosojusz kulturowych rewolucjonistów z białymi kołnierzykami doprowadzą w końcu do ośmielenia urzędowych porywaczy. A co jeszcze bardziej przerażające – do rosnącego społecznego przyzwolenia na ich działalność.

Dlatego stawka społecznej reakcji na uprowadzenie dzieci pary z warszawskiej Białołęki jest tak duża. Ospałość, brak zainteresowania czy aksamitne wybielanie rzecznik to kolejny krok w stronę samowoli „fanatyczek i fanatyków", którym rodzina kojarzy się raczej z czymś podejrzanym i potencjalnie niebezpiecznym niż z dobrem, bezpieczeństwem i odpowiedzialnością.

Szczęśliwie tym razem emocja społeczna była po stronie rodziców i Kanału Zero, a otwarcie przeciwstawić się jej gotowi byli raczej nieliczni. Nie możemy jednak zakładać, że za każdym razem będzie podobnie. Jeżeli naprawdę zdajemy sobie sprawę z kierunku, w którym zmierzają przemiany społeczne, potrzeba czegoś więcej niż jednorazowego oburzenia. Potrzebne są trwałe, profesjonalne komórki zdolne przeciwdziałać podobnym przypadkom w przyszłości. Potrzebna jest pomoc prawna, medialna i organizacyjna dla rodziców, zanim jeszcze urzędnik-porywacz zapuka do ich drzwi. A przede wszystkim potrzebna jest kulturowa ofensywa na rzecz „empowermentu" środowiska rodzinnego.

To więc nie koniec walki. To dopiero ostrzeżenie. Pora kopać fosy, wznosić mury, rozciągać zasieki i stawiać wieże strażnicze. Bo tu kończą się abstrakcje. Tu zaczyna się nasze być albo nie być.

PORA KOPAĆ FOSY, WZNOSIĆ MURY, ROZCIĄGAĆ ZASIEKI I STAWIAĆ WIEŻE STRAŻNICZE. BO DZIECI TO NASZE BYĆ ALBO NIE BYĆ.

eprasa.pl 0fd3c58127

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Tadeusz Płużański

Straszył rozstrzelaniem bez sądu

30 września 2006 r. zlikwidowano Wojskowe Służby Informacyjne. WSI to spadkobierca zbudowanego przez Sowietów Głównego Zarządu Informacji WP i jego następczyni – Wojskowej Służby Wewnętrznej. To po prostu wojskowy kontrwywiad. Szefami GZI byli Sowieci – płk Dmitrij Wozniesieński (zięć Karola Świerczewskiego) i płk Antoni Skulbaszewski.

Przyjrzyjmy się temu drugiemu. Skulbaszewski w Armii Czerwonej służył od 1935 r., ukończył szkołę oficerską NKWD. Uczestniczył w napaści ZSRS na Finlandię i w tzw. Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Potem Stalin oddelegował go do Wojska Polskiego. Ten sowiet w polskim mundurze był kolejno „oficerem" śledczym, prokuratorem, a w latach 1945–1948 zastępcą i w końcu naczelnym prokuratorem wojskowym (1948–1950). Następne cztery lata spędził jako zastępca szefa GZI, co powinno być głównym punktem oskarżenia. Niestety, stało się inaczej...

Skulbaszewski w 1954 r. został odwołany do ZSRS. Zamieszkał w rodzinnym Kijowie (urodził się w 1915 r. w podkijowskiej Peregonomce, jego matka była Ukrainką). Ministerstwo Sprawiedliwości RP próbowało go ścigać, ale Ukraina nie uznawała jego czynów za zbrodnicze.

Taki parasol ochronny Ukraińcy rozpięli nad Skulbaszewskim w latach 90. Dlatego odmówili jego ekstradycji do Polski i dlatego krwawy oprawca mógł bezczelnie wyrażać takie opinie, jak dla polskich mediów: „Tatara [gen. Stanisława Tatara] i jego kompanów uważano za przysłanych z Anglii do Polski do zorganizowania i przeprowadzenia przewrotu. [...] Teraz macie tę władzę, za którą Tatar przyjechał walczyć".

O zbrodniach Skulbaszewskiego mówi „odwilżowy" raport zastępcy prokuratora generalnego PRL Mariana Mazura z 1957 r.: „Wymyślał brutalnie Tatarowi, karał go karcem i raz uderzył go ręką w twarz. Straszył Tatara aresztowaniem żony w wypadku, gdyby odwoływał zeznania". Wobec innego więźnia Informacji ppłk. Stanisława Nowickiego: „Deptał mu po palcach nóg, śmiał się z niego, że został uderzony w twarz przez oficera śledczego (Leśniewskiego), straszył rozstrzelaniem bez sądu". Wobec mjr. Władysława Romana: „Skulbaszewski bywał przy intensywnych przesłuchaniach Romana (konwejer) i groził mu w wypadku nieprzyznania się stosowaniem męczących przesłuchań". Gen. Stefana Mossora „straszył niechybnym rozstrzelaniem". Prof. Jerzy Poksiński w książce „TUN" napisał, że śledztwo przeciwko Mossorowi „było wyjątkowo brutalne. [...] Zamknięto go w nieogrzewanej celi, gdzie przebywał prawie przez dwie zimy. [...] Przesłuchiwano go po 20 godzin na dobę. [...] Szczególnie uciążliwe było dla niego siedzenie na odwróconym stołku". Mjr IW Czesław Markiewicz przywoływał powiedzenie Skulbaszewskiego: „Niech ta bladź stoi tak długo, aż zdechnie albo zacznie mówić".

Skulbaszewski był skuteczny. W sprawach tatarowskiego „spisku w wojsku" podległy Informacji „sąd" – obok kar wieloletniego więzienia – orzekł ponad dwadzieścia wyroków śmierci. Krwawi kaci IW, w tym Antoni Skulbaszewski, pozostali bezkarni. Tym bardziej musimy pamiętać o ich zbrodniach. Tak jak o ciągłości Informacji Wojskowej z WSW i WSI jako długim ramieniu Moskwy.

eprasa.pl 0fd3c58127

Dziecko w torebce

To nie jest tekst polemiczny – raczej próba pokazania **drugiej strony zjawiska** przedstawionego przez mojego redakcyjnego kolegę Ludwika Pęzioła, piszącego o „Dzieciofobii gorszej od faszyzmu” (nr 35 „TS” z 1.09.2026 r.). A co, jeśli ma się dzieci nieodpowiedzialnie, na zasadzie: ot, zdarzyło się, ale przecież to małe nie będzie nas wybijać z zabawowego rytmu?

Monika Małkowska

Wakacyjna lektura „It Girl. Historia Jane Birkin” Marisy Meltzer (wyd. Marginesy, Warszawa 2026) przypomniała mi dawnego kolegę ze studiów i jego żonę. Czasy były „porewolucyjne” (tzw. młodzieżowa rewolucja), w PRL-u też naśladowano styl życia dzieci kwiatów. Ci młodzi pobrali się, kiedy ona zaszła w ciążę w wieku 17 lat, jeszcze w liceum. Na pierwszym roku studiów na ASP byli jedynym małżeństwem, jedynymi z chatą, no i jedynymi z dzieckiem.

Oj, ona już zaczyna się malować

Maleństwo nie przeszkadzało w balangach. Ani rodzicom, ani nam, gościom. Czasem córeczka budziła się i raczkowała wśród tańczących, niekoniecznie trzeźwych. Kiedyś malutka dorwała się do kosmetyków mamy i na sobie zrobiła użytek z cieni, szminek i mascar. Ale było śmiechu! Tak, do pewnego momentu było zabawnie, jednak nie skończyło się dobrze. Dziewczynka, podobnie jak jej matka, szybko uzależniła się od używek i... dziś już jej nie ma. Ta historia dziwnie przypomina losy córek Jane Birkin opisane w biografii „It Girl”. Niektórzy wiedzą, że Birkin zrobiła karierę aktorsko-piosenkarską (występowała też w Polsce); dla niektórych to tylko „ta od upiornie drogiej torby marki Hermès”. Jane także bezstresowo podchodziła do macierzyństwa, bo taka była moda. W ogóle matki ery dzieci kwiatów miały luźne podejście do rodzicielskich zadań. Nieważne, z kim zrobiony dzidziuś, grunt, żeby miał co jeść i ciekawe doświadczenia od najmłodszych lat.

Trzy córki i patchworkowa rodzina

Czytałam dramatyczne zwierzenia dzieci (już dorosłych) urodzonych w komunach hipisowskich, nie bardzo wiedzących, którzy ludzie są tak naprawdę ich rodzicami. I którzy z nich będą akurat trzeźwi czy nie trąceni narkotykami. Co do Birkin – nie ćpała, a jeżeli, to umiarkowanie. Za to uwielbiała seks, kolejny „narkotyk” młodzieżowej rewolucji. Osiadła nad Sekwaną Angielka stała się wzorcem z Sèvres modnych dziewczyn – it girls – lat 60. i 70. Trendsetterki typu Jane Birkin nie wydawały fortun na ciuchy, a przeciwnie, nosiły się z wyzywającą nonszalancją, często ubrane za grosze (choć rodzinna kasa pozwalała na markowe stroje). Najważniejsze było wyeksponowanie piękna ciała, w jak największej wizualnie dawce. Jane



Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 0fd3c58127

posiadała naturalne walory, a także wyróżniała się dezynwolturą, jeśli chodzi o wyłamywanie się ze sztywnych brytyjskich tradycji. Niespełna 19-letnia poślubiła starszego o 13 lat angielskiego (wziętego) kompozytora Johna Barry'ego, z którym miała pierwszą córkę, Katy (ur. 1967). Małżeństwo rozpadło się w 1968 r., Barry na długie lata przestał interesować się córką, Jane zaś znalazła pocieszenie w ramionach Serge'a Gainsbourga, gwiazdora perwersyjno-romantyczno-kabaretowej sceny francuskiej piosenki. Z tym starszym o 18 lat partnerem Jane miała drugą córkę, Charlotte (ur. 1971). Trzecia córka Birkin imieniem Lou była owocem związku z reżyserem Jacques'em Doillonem (ur. 1982).

Zainteresował mnie model wychowawczy trzech dziewczyn, z których najstarsza już zeszła z tego świata (w 2013), najprawdopodobniej w samobójczym geście. Otóż te dzieciaki nie miały dzieciństwa, bo... od pieluch traktowano je jak dorosłe. Najstarsza Kate targana była do knajp przez matkę i przybranego papę Gainsbourga, gdzie imprezowano do późnych godzin nocnych czy raczej wczesnych rannych. Efekt? Uzależnienie narkotykowe i pierwsza kuracja odwykowa już w wieku 15 lat. Bezskuteczna – Kate nigdy nie udało się wyzwolić od dragów i alko. Charlotte zaczęła występy na ekranie przed 13. urodzinami, a rok wcześniej nagrała wraz z papą utwór „Lemon Incest" (1984), za scenerię mając ogromne łoże taty. Dwuznaczny tekst traktował o kazirodczej miłości między ojcem i córką. Piosenka miała być kolejną prowokacją Serge'a – co się udało. Co dalej z Charlotte? Jest matką trójki dzieci (z tym samym mężczyzną, ewenement w rodzinie!). Nie jestem pewna, czy nie wypowiedziała się najszczerzej w dramatach von Triera „Antychryst", „Melancholia", a zwłaszcza w „Nimfomance". Najmłodsza Lou też ma niepoukładane życie: pierwszy syn pojawił się, gdy miała 19 lat; drugi, z innego ojca, 20 lat później. I nikt mnie nie przekona, że luzackie traktowanie dzieci to przepis na ich szczęście.

MATKI ERY DZIECI KWIATÓW MIAŁY LUŹNE PODEJŚCIE DO RODZICIELSKICH ZADAŃ. NIEWAŻNE, Z KIM ZROBIONY DZIDZIUŚ, GRUNT, ŻEBY MIAŁ CO JEŚĆ I CIEKAWE DOŚWIADCZENIA OD NAJMŁODSZYCH LAT.

Dziecko dla kariery

Zastanawia mnie też totalna obojętność wobec wykorzystywania dzieci jako „maszynek do robienia kasy". Co na to rzecznicy praw dziecka? Mieliby co robić, bo jest tego sporo – konkursów ogólnokrajowych i międzynarodowych, w których w szranki stają najmłodsi. Te wszystkie „Drogi do Gwiazd", „Wygraj Sukces", „Ja też mam talent" (dla przedszkolaków) to nakręcanie nienormalnych emocji u maluchów, a nade wszystko – u ich rodziców. Z zażenowaniem oglądam śpiewacze kompetycje dla kilkulatków wystylizowanych (pretensjonalnie) na dorosłych. Bo rzecz w tym, żeby – owszem – pobudzić twórczą energię w dzieciakach, ale nie wklejać im do głowy, że tym samym mają zagwarantowaną karierę na lata, na całe życie. To, że dzieciak na ekranie (najpierw dużym, potem małym) ma potencjał komercyjny, zauważyli już twórcy kina niemego. W 1921 r. w filmie Charliego Chaplina „Brzdąc" w roli głównej wystąpił 7-letni Jackie Coogan. Zarobił wielomilionowy majątek, który jego matka i ojczym beztrosko roztrwonili, co w konsekwencji przyczyniło się do uchwalenia w Kalifornii tzw. Coogan Act (1939), prawa zabezpieczającego zarobki dzieci-aktorów. Wtedy też uregulowano czas pracy niepełnoletnich na planie filmowym oraz ich godziny na normalną naukę. Także w latach 30. narodził się system masowego kreowania „dziecięcych gwiazd". Tą, która tę modę zapoczątkowała, była Shirley Temple, najsłynniejsza dziecięca aktorka, która zagrała w ok. 60 filmach, a w każdej produkcji występowała w scenkach tanecznych i śpiewała piosenki. Do znudzenia...? Bynajmniej – w połowie lat 30. jej zarobki sięgnęły 300 tys. dolarów za tytuł. Judy Garland, choć starsza od Temple o 6 lat, karierę zaczęła później, dopiero jako 13-latka. Już wtedy w fabryce snów stosowano nieludzkie metody drenowania małoletnich talentów. Garland, a także innym młodym aktorom, stale dostarczano pobudzającą amfetaminę na przemian ze środkami nasennymi, a do tego specyfiki kontrolujące wagę. W efekcie aktorka wpadła w uzależnienie od leków odzwierciedlające się na jej stanie emocji. Rezultat? Pięciokrotne zamążpójście, cztery rozwody, wielokrotnie podejmowane próby samobójcze, śmierć w wieku 47 lat w wyniku przedawkowania leków nasennych. Piękna kariera.

Polskie młode talenty

„Ach śpij, kochanie" – tę słynną kołysankę zaśpiewali Eugeniusz Bodo i Adolf Dymsza na planie filmu „Paweł i Gaweł" z 1938 r. Usypiane „dziecko" udawała całkiem dorosła Helena Grossówna i chyba nikt nie wykorzystywał jej na podobieństwo wspomnianych powyżej gwiazd. W PRL-u także nie notowano podobnych przypadków. W ówczesnych badziewnych warunkach nie robiono karier z pomocą dzieci ani też nie miały wielu szans, by wykazywać się szołmeńskimi

eprasa.pl 0fd3c58127

uzdolnieniami. Zdarzały się jednak kariery bez precedensu. Bodaj najdłużej działał zespół dziecięco-młodzieżowy Gawęda, powstały w 1952 r. w Domu Harcerza na warszawskiej Pradze. Ich instruktorem był także niestary, bo 24-letni, instruktor wychowania artystycznego Andrzej Kieruzalski. Trudno uwierzyć, że Gawęda istniała 65 lat, dała ponad 6000 przedstawień na całym świecie, a jakość swych produkcji zawdzięczała Wandzie Chotomskiej i Kazimierzowi Korczowi. Inny fenomen kulturowy stanowiły Filipinki. Od 1957 r. ukazywało się pismo dla dziewcząt „Filipinka", które zawiesiło działalność dopiero w 2006 r. Ideą tego periodyku było „wyhodowanie" przyszłych świadomych kobiet komunistycznego kraju. Niejako ubocznym produktem wydawnictwa stała się grupa muzyczna. „Jedno wspólne imię mamy – Filipinki" deklarowały dziewczątka z zespołu, który powstał w 1959 r. przy Technikum Handlowym w Szczecinie. Trzy lata później siedem uzdolnionych muzycznie panienek odniosło sukces w radiowym konkursie „Mikrofon dla wszystkich" i od tej pory młode wokalistki rozpoczęły podbój rodzimych mediów oraz zaprzyjaźnionych krajów. A jakie były postępowe! W 1964 r. nagrały „Wala Twist" o „pierwszej w świecie podniebnej miss". Ale w tym samym roku deklarowały przywiązanie do tradycyjnych wartości w piosence „Do widzenia, profesorze": „Przyrzekamy rozwiązywać to zadanie/ jak uczciwie i mądrze żyć". Co dziś może wydawać się niewiarygodną naiwnością – wtedy większość naprawdę wierzyła w te słowa oraz wagę tego oświadczenia.

Model skandynawski

Wracając do współczesności. Spostrzeżenia Ludwika Pęzioła sprawiły, że ostatnio w samolocie staram się nie irytować, kiedy chór „kaszojadów" zaczyna zgodnie wyć – przecież te wrzaski świadczą o tym, że ktoś jednak decyduje się pokazać środkowy palec antydzieciowemu egoizmowi. Czasem jednak bywa trudno. W restauracjach, szczególnie hotelowych, gdzie maluchy są „mile" (z konieczności) widziane, zaciskam zęby, gdy berbeć pobiera jadło z całym dobrodziejstwem naturalnych odgłosów i reakcji motorycznych. A rodzice zachwyceni, że ich pociecha dyktuje warunki wszystkim dookoła. Pogląd, że dzieciak to „partner" dorosłych i należy mu się traktowanie jak samodzielnego, wolnego człowieka, to efekt popularyzacji skandynawskiego modelu wychowania. Ten trend dotarł do Polski mniej więcej 15 lat temu i zaczął robić karierę w kręgach zamożniejszej klasy średniej. To też była pewna manifestacja: odcinamy się od tradycji polskich, funkcjonujących nawet w PRL-u, kiedy „gówniarzom" nie dawano prawa wypowiadania się w sprawach dotyczących ich emocjonalnych potrzeb, pragnień, traum i strachów. Na wzór XIX-wiecznych metod wychowawczych dzieci miały być „widziane, ale nie słyszane", bo jak ryby „nie miały głosu". Oczywiście, że co wrażliwsi rodzice mieli większą otwartość na pacholęce problemy, jednak daleko było do partnerstwa na linii dziecko – dorośli. I nikt nie uważał przyłożenia klapsa za wychowawczą zbrodnię. Tymczasem od momentu, kiedy Szwecja wprowadziła prawny zakaz bicia dzieci (1979), w Europie, a także w Polsce, rozpętała się dyskusja nad wymianą kar cielesnych na „negocjacje" z krnąbrnym dzieciakiem, żeby czuł się jak równy z równym.

Fachowcy od klapsów

Skandynawskie wzorce sprawiły, że w Polsce pochylono się konstytucyjnie (w 1997 r.) nad małoletnimi i w styczniu 2000 r. po raz pierwszy powołano rzecznika praw dziecka (RPD). Wraz z tym organem powstał urząd, w strukturze którego mieści się 13 statutowych jednostek, czyli dziesiątki, może setki, etatowo zatrudnionych biurokratów. Jak nietrudno zauważyć, urząd ten niewiele poprawił sytuację niepełnoletnich w Polsce, przynajmniej jeśli chodzi o wyrównywanie szans na społeczny awans dla dzieci z prowincji, z rodzin uboższych, a nie daj Boże – patologicznych. Owszem, o dzieciach mówi się w III RP dużo, na każdym poziomie: dlaczego rodzi się ich za mało, a gdy już są, to – jak je uczyć, jak wychowywać, jak dbać o ich emocjonalny dobrostan. Tak naprawdę nikt nie ma sensownego pomysłu, co zrobić z pogłębiającymi się i coraz powszechniejszymi problemami psychologicznymi małolatów, poza biciem (sic!) na alarm, że brakuje fachowców od tych przypadków, tak w szkole, jak i poza nią. Ostatnio jednak najwięcej słyszy się o obecnej rzeczniczce praw dziecka, pani Monice Hornie-Cieślak, która już drugi raz stała się bohaterką (negatywną) wydarzeń, ponieważ chyba zawiodła ją wrażliwość/intuicja/umiejętność oceny sytuacji. Cała Polska dyskutuje, czy matce wolno było szarpnąć dzieciaka, czy pozwolić mu wbiec na jezdnię pod koła rozpędzonych samochodów. Osobiście jestem jak najbardziej ZA reakcją matki – bo choć upłynęły dziesiątki lat, do tej pory pamiętam lanie, jakie dostałam od mamy, kiedy z rozpędu wbiegłam na niebezpieczny parking. Nie było milusio. I co, trauma? Nic z tych rzeczy. W pamięci została anegdota. I większa uwaga na to, co dzieje się dookoła.

ZASTANAWIA MNIE TOTALNA OBOJĘTNOŚĆ WOBEC WYKORZYSTYWANIA DZIECI JAKO „MASZYNEK DO ROBIENIA KASY".

eprasa.pl 0fd3c58127

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Cezary Krysztopa

Polskie dzieci zabijane w sposób bardziej okrutny niż psy

Jedną z metod usypiania zwierząt domowych jest wstrzyknięcie w serce chlorku potasu, czyli potocznie soli. Prowadzi to do zatrzymania krążenia, ale jest też bardzo bolesne. Dlatego, z powodów humanitarnych, weterynarze dbają o to, by zwierzę było znieczulone czy uśpione.

Podobną metodę stosuje się do usypiania ludzkich dzieci. W ten sposób dzieci usypiała „bohaterka" środowisk progresywnych i feministycznych, dr Gizela Jagielska. Jest to metoda zabijania dzieci nienarodzonych stosowana w polskich szpitalach, które od czasu przejęcia władzy przez ekipę Donalda Tuska zabijają coraz więcej dzieci. Dla uczciwości trzeba jednak dodać, że nad nową furtką w postaci tzw. przesłanki psychiatrycznej do aborcji pracował jeszcze minister Adam Niedzielski w rządzie Mateusza Morawieckiego.

Natomiast jest jedna różnica. Otóż w przypadku ludzkich dzieci nie stosuje się znieczulenia ani narkozy. Tak, ludzkie dzieci zabija się w sposób bardziej okrutny niż chore psy. Żeby uśpić również wyrzuty sumienia, media, celebryci, aktywiści i inni inżynierowie społeczni, przekonują nas, że „dzieci nienarodzone nie są ludźmi", ale summa summarum traktują je nie tylko gorzej niż ludzi, ale również gorzej niż chore psy.

Jednym z bardziej aktywnych w dziele „popkulturyzacji" aborcji jest tzw. Aborcyjny Dream Team, zespół aktywistek aborcyjnych, które przy pomocy działań popkulturowych usiłują przekonywać, że zabijanie dzieci nienarodzonych jest procederem modnym, miłym i radosnym, takim lajfstajlowym wydarzeniem, które bardziej kojarzy się z miłym spotkaniem z sympatycznymi ludźmi niż ze śmiercią. Jedną z aktywności Aborcyjnego Dream Teamu jest klinika aborcyjna Abotak. W ramach jej działalności otwarto możliwość korzystania z tzw. abortomatu, który wydaje środki do aborcji farmakologicznej na zasadzie paczkomatu. Modnie, miło i radośnie. Bo przecież „to nie ludzie".

Trudno nie widzieć tutaj analogii z Niemcami w latach trzydziesty ubiegłego wieku, kiedy to całe niemieckie społeczeństwo (z nielicznymi wyjątkami), zwykłych urzędników, szewców, rolników i kucharek, udało się przekonać, że „Żydzi to nie ludzie i nie zasługują na to, żeby żyć".

A, w sumie, skoro dzieci nienarodzone „to nie ludzie", to dlaczego za granicę możliwości przeprowadzenia aborcji uznawać narodziny? To arbitralna granica. Jak każda w przypadku procesu rozwoju człowieka. Równie dobrze moglibyśmy ustalić ją na przykład na 12 lat i umiejętność myślenia abstrakcyjnego oraz rozwiązywania zadań algebraicznych na pewnym poziomie. Jak w opowiadaniu Philipa K. Dicka „Przedludzie". Nie przejdzie testu, przyjeżdża abortowóz, zabiera do Abotaku i chlorek potasu w serce bez znieczulenia.

Ile to by problemów celebrytom rozwiązało. Nieograniczony seks bez odpowiedzialności. Można wykastrować, chwalić się przez koleżankami „niebinarnym dzieckiem", a jak się znudzi, to wysłać po tabletki do abortomatu.

eprasa.pl 0fd3c58127

KULTURA

Czytaj też:
Gra wideo. Film 60

Muzyka jest obszarem, który NIWELUJE BARIERY

– Funkcjonowanie w obszarze psychologii i pomagania ludziom bardzo mnie zmieniło. Zupełnie inaczej myślałem i patrzyłem na muzykę, różne aspekty życia i drugiego człowieka dwadzieścia kilka lat temu, a zupełnie inaczej patrzę dzisiaj. Kiedy pomagam ludziom i pracuję z nimi, obserwuję ludzkie emocje nie tylko z perspektywy sceny, świateł i blichtru, ale również z perspektywy osoby, która siada naprzeciwko drugiego człowieka i widzi jego ból, cierpienie i trudności – mówi **Arkadiusz Wiśniewski**, muzyk, terapeuta, wokalista i basista Czerwonych Gitar, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Arkadiuszu, zacznijmy od „Nocnego spaceru”. Jak wyglądałby taki nocny spacer, gdyby ktoś, kto zupełnie Cię nie zna, chciał poznać Twoją muzykę właśnie przez ten singiel?

– Dokładnie tak, jak ta piosenka. „Nocny spacer” jest opowieścią o mnie, o tym, co czuję, o moich emocjach. O samotności, tęsknocie, potrzebie bycia w kontakcie z drugim człowiekiem. To jest dokładnie mój nocny spacer i wszystko to przedstawiam w tej piosence.

– Obecnie muzyka balladowa, pop-rockowa ma jeszcze rację bytu?

– Myślę, że tak. Co prawda na rynku jest obecnie bardzo dużo muzyki. Codziennie pojawia się wiele nowych piosenek i produkcji, rynek jest wręcz zalewany nowymi utworami. Ja jednak postanowiłem, że na płycie „50/25” opowiem o emocjach. A emocji doświadcza każdy człowiek – niezależnie od tego, czy jest bardzo młody, w średnim wieku czy starszy. Ta płyta i „Nocny spacer” są właśnie historią o emocjach.

MOJA HISTORIA Z ZESPOŁEM CZERWONE GITARY ZACZĘŁA SIĘ BLISKO 25 LAT TEMU.

– Jakie emocje są najbliższe Twojej muzycznej duszy?

– Myślę, że wszelkie. Doświadczam przeróżnych emocji – od samotności i tęsknoty po radość, szczęście czy zachwyt. Tak jak każdy człowiek. Nigdy nie doświadczamy tylko jednej emocji. One łączą się w całe łańcuchy.

– Co skłoniło Cię do rozpoczęcia, a właściwie wznowienia, solowej kariery?

– Potrzeba intymności i wyrażenia tego, co we mnie gra. Potrzeba pokazania swoich emocji i tego, co jest mi bliskie. Zespół jest miejscem, w którym realizuję się od wielu lat – jest dla mnie bardzo ważny. Natomiast mój projekt solowy jest czymś bardziej intymnym, bardzo bliskim mnie i temu, co jest w moim sercu i emocjach.

eprasa.pl 0fd3c58127

Arkadiusz Wiśniewski, od ponad dwóch dekad związany z Czerwonymi Gitarami, rozpoczyna **nowy rozdział** swojej kariery. Niedawno ukazał się „Nocny spacer” – pierwszy singiel zapowiadający jego autorski projekt solowy 50/25. To historia ludzi, którzy są blisko siebie, a mimo to wciąż się mijają – zagubionych we własnych myślach, pustych mieszkaniach i niewypowiedzianych słowach.



Fot. Sebastian Tyniecki

– Z jednej strony widzę rockmana, pazur, a z drugiej – dużo delikatności i refleksji. Jak łączysz te dwie natury?

– Postanowiłem, że na początku nie będę mocno i agresywnie prezentował tej płyty. Zacząłem od melancholijnej piosenki. Ma ona jednak dość rockowy rys – są tam mocne gitary, mocny bit, ósemkowy bas nadający dynamiczny charakter. Faktycznie jest tam jednak dużo melancholii. Myślę, że tak jak powiedziałem, wszystkie emocje – zarówno radość, jak i smutek – można połączyć. „Nocny spacer” jest właśnie takim połączeniem emocji i połączeniem mnie.

– Jesteś wokalistą i basistą Czerwonych Gitar. Zespół ma jednak w świadomości wielu osób zupełnie inny wizerunek. Ja spodziewałem się pana grubo po siedemdziesiątce, a spotykam młodego, pełnego energii faceta. Jak to wszystko wygląda?

– Miło mi, że tak mnie widzisz. Nie ukrywam, że czuję się dobrze, jestem w dobrej formie. Nie jestem smutnym panem, który od wielu lat funkcjonuje w branży muzycznej. Czerwone Gitary to zespół, który powstał 61 lat temu.

EMOCJI DOŚWIADCZA KAŻDY CZŁOWIEK – NIEZALEŻNIE OD TEGO, CZY JEST BARDZO MŁODY, W ŚREDNIM WIEKU CZY STARSZY.

eprasa.pl 0fd3c58127

– Ciebie wtedy oczywiście nie było jeszcze na świecie.

– Dokładnie. Prawdopodobnie nawet nie było mnie w planach, kiedy Czerwone Gitary już grały. Moja historia z zespołem zaczęła się jednak później, blisko 25 lat temu. Dołączyłem do zespołu, który był już ukształtowany, miał swoją historię, przeboje i legendę świetnych twórców. Seweryn Krajewski, Krzysztof Klenczon czy pozostali koledzy byli filarami tego zespołu. Ja dołączyłem nieco później i stąd może wynikać inny obraz Czerwonych Gitar.

– Czyli gracie przede wszystkim wielkie przeboje znane kilku pokoleniom Polaków?

– Tak, Czerwone Gitary grają największe hity, takie jak „Nikt na świecie nie wie", „Takie ładne oczy" czy „Tak bardzo się starałem", ale wykonujemy również nowe piosenki, które napisałem dla zespołu. Pomiędzy szlagierami i hitami, które zna cała Polska, pojawiają się nowe utwory, między innymi „Senny szef", „Lecz tylko na chwilę" czy „Czerwona gitara". Co ciekawe, są osoby w moim wieku i młodsze, które bardziej znają Czerwone Gitary z tej nowej twórczości. Kojarzą „Sennego szefa", „Lecz tylko na chwilę", nowe płyty, a niekoniecznie artystów, którzy stworzyli zespół.

– Jesteś jednym z najmłodszych członków zespołu. Kto obecnie tworzy Czerwone Gitary?

– Zespół składa się z czterech muzyków. Jestem ja, Arkadiusz Wiśniewski – gitara basowa i wokal. Jest Jerzy Skrzypczyk, muzyk, który jest w zespole od początku i zagrał w zasadzie wszystkie koncerty. Jest też Mieczysław Wądołowski – gitara akustyczna i wokal – oraz Marcin Niewęgłowski, który gra na gitarze elektrycznej i śpiewa. Jerzy jest perkusistą, i to jedynym perkusistą w historii Czerwonych Gitar. Nigdy nie było innego.

SĄ OSOBY W MOIM WIEKU I MŁODSZE, KTÓRE BARDZIEJ ZNAJĄ CZERWONE GITARY Z NOWEJ TWÓRCZOŚCI.

– Jak współpracuje się pokoleniowo, skoro dzieli Was tak duża różnica wieku?

– Trafiłem do zespołu, mając dwadzieścia kilka lat. Czerwone Gitary to połowa mojego życia. Staram się jednak przede wszystkim patrzeć na drugiego człowieka, nie oceniać go i nie krytykować. W różnych rzeczach szukam tego, co dobre. Muzyka jest obszarem, który niweluje bariery.

– Dzięki muzycznym korzeniom łatwiej jest Wam się porozumieć?

– Myślę, że muzyka jest językiem, który łączy, i bardzo łatwo dzięki niej się skomunikować mimo różnicy pokoleń. Jestem również fanem The Beatles i zawsze bliska była mi muzyka Czerwonych Gitar. Pamiętam nawet, jak miałem cztery czy pięć lat. Na jednej z kaset w domu moich rodziców była okładka z nazwiskami: Jerzy Kosela, Henryk Zomerski, Seweryn Krajewski, Jerzy Skrzypczyk. Słuchałem tej kasety, oglądałem okładkę i zastanawiałem się, jak ci ludzie wyglądają. Piszą takie fajne piosenki, tak dobrze się tego słucha. Kiedy później dostałem propozycję od Czerwonych Gitar, bardzo interesowało mnie właśnie to, jacy są ci ludzie, jak napisali te piosenki, jak Kosela wymyślił ten zespół. To była dla mnie wielka zagadka i ciekawostka.

Arkadiusz Wiśniewski

wokalista, basista, kompozytor, autor tekstów i producent muzyczny, obecny na polskiej scenie od ponad 25 lat. Od 2003 roku jest wokalistą i basistą Czerwonych Gitar, z którymi zagrał około 2500 koncertów w Polsce, Europie i Stanach Zjednoczonych. Jest współautorem utworów zespołu, które zgromadziły łącznie około 19 milionów odtworzeń w serwisie YouTube i 2,7 miliona na Spotify. Wśród nich znalazły się m.in. „Lecz tylko na chwilę", „Senny szept" oraz „Czerwona gitara". W swojej karierze współpracował także m. in. z Edytą Górniak i Zbigniewem Wodeckim.

W 2025 roku został odznaczony przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis". Równolegle z działalnością muzyczną rozwija się w obszarze psychologii – jest certyfikowanym terapeutą uzależnień i muzykoterapeutą, absolwentem studiów podyplomowych z psychologii klinicznej oraz współpracownikiem Mazowieckiego Centrum Neuropsychiatrii.

Projekt 50/25 jest początkiem jego solowej drogi, ale nie oznacza rozstania z Czerwonymi Gitarami – Arkadiusz Wiśniewski pozostaje członkiem zespołu i nadal z nim koncertuje.

eprasa.pl 0fd3c58127

– Oprócz muzyki jesteś również psychoterapeutą i terapeutą uzależnień. Podczas rozmowy z kimś automatycznie zaczynasz go analizować?

– Pewnie trochę tak jest. Wiedza, którą posiadam z zakresu psychologii, psychoterapii uzależnień czy muzykoterapii, pomaga mi w życiu i na pewno korzystam z niej świadomie i podświadomie. Świadomie – wiadomo – w pracy w gabinecie czy na oddziale. Natomiast w codziennym życiu, również teraz podczas tej rozmowy, podświadomie z niej korzystam. Nie prowadzę jednak jakiejś szczegółowej analizy i nie zaglądam w zakamarki ludzkiej psychiki. Po prostu czuję pewną energię, rozmawiamy i tyle.

– Skąd biorą się w Tobie ten spokój i opanowanie? Z jednej strony koncerty, hotele, podróże, Czerwone Gitary, a z drugiej praca z pacjentami. Jak znajdujesz w tym wszystkim równowagę?

– Myślę, że to wynik wielu lat pracy nad sobą, poznawania siebie, akceptacji świata i drugiego człowieka. Do tego dochodzi rozwój stricte medyczny, szkoła psychoterapii, studia psychologiczne, muzykoterapia i praca na oddziale podwójnej diagnozy w Mazowieckim Centrum Psychiatrii. To wszystko mnie kształtuje. W połączeniu z muzyką dało mi fundament do napisania tej płyty i do tego, żeby zrobić coś właśnie o sobie, odsłonić się i pozwolić innym poznać mnie z bardziej osobistej strony.

– Czym różni się pisanie piosenek dla Czerwonych Gitar od pisania jako Arkadiusz Wiśniewski?

– Nie ma tu jednej reguły. Stylistyka może być różna. Dla Czerwonych Gitar mogę pisać inaczej i pewnie piszę inaczej, bo historia, melodie i czas spędzony w zespole ukształtowały mnie pod kątem tej grupy. W przypadku własnych rzeczy spektrum jest znacznie szersze. Nic mnie nie ogranicza. Mogę napisać i powiedzieć wszystko tak, jak czuję i jak chcę. Nie ma tego charakterystycznego sznytu Czerwonych Gitar.

MUZYKA JEST JĘZYKIEM, KTÓRY ŁĄCZY, I BARDZO ŁATWO DZIĘKI NIEJ SIĘ SKOMUNIKOWAĆ MIMO RÓŻNICY POKOLEŃ.

– Kiedy piszesz muzykę i słowa, masz z tyłu głowy historię i dziedzictwo Czerwonych Gitar?

– Pewnie podświadomie tak. Jeśli daję coś do banku piosenek Czerwonych Gitar, chciałbym, żeby było dobrej jakości i nie odstawało od tego, co zespół napisał do tej pory. Zasadniczo jednak z pisaniem muzyki jest tak, że melodia albo tekst pojawiają się nagle. To jest chwila. Albo czuję, że coś pasuje, albo nie. Jeśli uznam, że dana rzecz nie jest dla Czerwonych Gitar, po prostu nie biorę jej pod uwagę.

– Czy ta druga noga Twojej działalności zawodowej daje Ci spokój również jako artyście i solowemu twórcy?

– Zdecydowanie. Funkcjonowanie w obszarze psychologii i pomagania ludziom bardzo mnie zmieniło. Zupełnie inaczej myślałem i patrzyłem na muzykę, różne aspekty życia i drugiego człowieka dwadzieścia kilka lat temu, a zupełnie inaczej patrzę dzisiaj. Kiedy pomagam ludziom i pracuję z nimi, obserwuję ich emocje nie tylko z perspektywy sceny, świateł i blichtru, ale również z perspektywy osoby, która siada naprzeciwko drugiego człowieka i widzi jego ból, cierpienie i trudności.

– Twoja solowa płyta ukaże się w przyszłym roku. Może być ona dla słuchaczy pewną formą muzykoterapii?

– Myślę, że tak. Ideą tej płyty jest to, że każda z piosenek będzie opowiadała o jednej z emocji. Myślę, że każdy znajdzie tam utwór opisujący emocje, które w danym momencie są mu najbliższe. Płyta ukaże się w przyszłym roku pod tytułem „5025. Arkadiusz Wiśniewski". Na razie jest „Nocny spacer" – pierwszy singiel, choć za chwilę pojawi się kolejny. Planuję również wydanie piosenek zimowych. Dużo się będzie działo. Do przyszłego roku będę proponował słuchaczom różne formy i różne odcienie tej płyty. Będziecie mogli poznać to, co u mnie gra i co dzieje się w mojej duszy i sercu.

JEŚLI DAJĘ COŚ DO BANKU PIOSENEK CZERWONYCH GITAR, CHCIAŁBYM, ŻEBY BYŁO DOBREJ JAKOŚCI I NIE ODSTAWAŁO OD TEGO, CO ZESPÓŁ NAPISAŁ DO TEJ PORY.

eprasa.pl 0fd3c58127

FILM

Gra wideo. Film



Seria gier „Resident Evil” nie miała szczęścia do ekranizacji. Pierwsze podejście (z 2002 roku, autorstwa Paula W.S. Andersona) może i miało szlachetne intencje, ale wybrukowało nimi piekło pięciu sequeli, które materiał źródłowy traktowały jak znalezione na strychu graty z wyprzedaży garażowej. Powstały tym sposobem fabularny miszmasz uporządkować mogła jedynie bomba atomowa, czyli „Ostatni rozdział” – podpisany również przez Andersona produkt filmopodobny, który pogrzebał „Residenta” pod radioaktywnym pyłem wstydu i zniesławienia.

Sebastian Pytel

Padlinożercy przyszli szybko, ledwie po kilku latach. „Witajcie w Raccoon City” z założenia miał być remedium na ułańską fantazję Andersona i czymś na kształt przeprosin dla całej społeczności za zszarganą reputację oryginału. Reżyser Johannes Roberts poszedł po linii najmniejszego oporu: skleił fabułę dwóch pierwszych części gry, zebrał jej głównych bohaterów i włączył kamerę. Niestety, postawa Dedala przyniosła efekt Ikara: przywiązanie do materiału źródłowego z oczywistej zalety stało się oczywistą wadą. Roberts poległ na zupełnym niezrozumieniu medium. Gry wideo, by uwiarygodnić lub uatrakcyjnić narrację, czerpią z X muzy niemal jeden do jednego (umieszczając krótsze lub dłuższe nieinteraktywne wstawki potrzebne do spinania wątków), niestety w drugą stronę nie działa to już tak płynnie. Sprasowanie dwóch kilkugodzinnych gier do niespełna dwugodzinnego filmu przypomina bryk z lektury szkolnej: suche fakty zbite w bryłę pozbawioną życia. „Witajcie...” szybko zmieniło się więc w żegnajcie, a seria ponownie utkwiła w martwym punkcie. Jakiś czas później własną wariację „Residenta” wydał jeszcze Netflix, ale dla dobra ogółu uznajmy, że ta próba nigdy nie nastąpiła.

Jako że powtarzanie tej samej czynności w oczekiwaniu na inny efekt bywa ulubionym ćwiczeniem intelektualnym hollywoodzkich producentów (ukłony dla „Fantastycznej czwórki”), dostajemy kolejny restart franczyzy. Licencja na adaptację trafiła tym razem w ręce Zacha Creggera, który na szerokie wody wypłynął zeszłorocznymi „Zniknięciami” – mieszanką baśni, horroru i dramatu, nagrodzoną Oscarem za najlepszą aktorkę drugiego planu. W wywiadach przedpremierowych Amerykanin dość precyzyjnie wyłożył swoją strategię przeniesienia gry studia Capcom na ekran jako minimalistyczną. I faktycznie, fabuła została obgryziona do kości. Poznajemy kuriera o imieniu Bryan (Austin Abrams), który ma dostarczyć materiał biologiczny do szpitala w Raccoon City. Gdzieś w połowie ośnieżonej

eprasa.pl 0fd3c58127



Fot. kadr z filmu

drogi przecinającej las dochodzi do wypadku, a potem jest już tylko gorzej: ludzkie i zwierzęce ciała ulegają przerażającym deformacjom, zza każdego rogu wygląda śmierć, a zawartość torby owiniętej wokół barku Bryana nabiera wagi nadchodzącej apokalipsy.

W dobie „Lalek" i gorącej dyskusji o (nie)wierności nowych wersji względem pierwowzoru Cregger flirtuje z obiema stronami barykady. Nie korzysta z tak zwanego kanonu, pisze odrębną historię z nowym bohaterem, akcję umieszcza na oddzielnej linii czasu. Na dobrą sprawę, gdyby lekko zamieszać w scenariuszu, zmienić ton i scenografię, film spokojnie można by sprzedawać jako kinowy „Silent Hill", „Death Stranding" czy inny popularny liniowy tytuł z katalogu elektronicznej rozrywki. Autora „Barbarzyńców" interesuje przede wszystkim mechanika gier surwiwalowych: zbieranie i ulepszanie zasobów, umiejętne zarządzanie ekwipunkiem, pokonywanie (coraz trudniejszych) przeszkód, eskalowanie poziomu trudności i sposób wprowadzania nowych oponentów. To właśnie matryca „Resident Evil", a nie sam „Resident Evil" jest przedmiotem adaptacji. Stąd porozrzucane po różnych częściach kadru przedmioty z gier, których zadaniem w równym stopniu jest fanserwis, co odwracanie uwagi od zamysłu twórczego. Ale nie jest też tak, że reżyser gry wideo oglądał ich podsumowanie na YouTube za pięć dwunasta. Struktura oryginalnej trylogii została całkiem zgrabnie zachowana. Mamy postać, która zaczyna praktycznie z niczym, zostaje wrzucona w sam środek wielkiej afery i musi mozolnie przedzierać się przez kolejne lokacje. Po drodze spotyka inne postacie, głównie w celu szybkiej ekspozycji i wyznaczenia kursu na następne zadanie. Sam wirus, gwałtowny sposób jego rozprzestrzeniania i mutacje, które powoduje, w ciekawy sposób korespondują z growym pokłosiem epidemii wywoływanej przez korporację Umbrella.

No dobrze, ale czy ktoś, kto do cyfrowego świata ma stosunek raczej obojętny, dostanie dobry horror? I tak, i nie. Tak, bo film trzyma w napięciu, ma dobre tempo i pomysłowe ujęcia (od skromnych, ale efektownie efektywnych zabaw światłocieniem po imponujące pasaże, np. w trakcie ucieczki przed skaczącymi z dachu zarażonymi). Cregger zdecydowanie wie, co robi, starszyzna po fachu bez wahania nazwałaby go facetem z ręką nabitą warsztatem. Dlaczego więc nie? Głównie dlatego, że „Resident Evil" zawiera na tyle duże stężenie humoru, że trudno brać go na serio pod kątem grozy. Praktycznie każda scena, w której dominuje mrok czy cięższy kaliber opowieści, niemal natychmiast zostaje rozrzedzona żartem słownym lub sytuacyjnym. Przejawy szeroko rozumianej powagi są zduszone w zarodku (z niekiedy wyraźną przyjemnością) jako formy obciążenia narracji. Niedźwiedzia przysługa, którą Cregger wyświadcza sam sobie, skutecznie torpeduje temat, zdolny połączyć obie grupy widzów, czyli strach przed ojcostwem. Wypadek Bryana na drodze pośrodku niczego przerywa rozmowę z jego dziewczyną, która właśnie dowiedziała się, że jest w ciąży. Bryan instynktownie ucieka: najpierw słownie, rzucając okrągłe formułki, potem dosłownie, biorąc zlecenie do miejscowości znacznie oddalonej od domu. Gdy pod koniec podróży trafia w ślepy zaułek, wszechświat subtelnie przypomina mu o przewartościowaniu priorytetów. Dla dobrej adaptacji to moment przełomowy, udany transfer do innego medium, poszerzenie pola walki. Dla Zacha Creggera to okazja do kolejnego żartu.

„Resident Evil", reżyseria: Zach Cregger, scenariusz: Zach Cregger, Shay Hatten, obsada: Austin Abrams, Paul Walter Hauser, Zach Cherry, Kali Reis, gatunek: horror, produkcja: USA 2026, czas: 95 minut.

eprasa.pl 0fd3c58127

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

Droga na manowce?

Patryk Stanik

Najsłynniejsza trasa pielgrzymkowa chrześcijaństwa, słynne Camino de Santiago, coraz bardziej przypomina bieg z przeszkodami duchowymi. Czy nadal może owocować religijnie?

Krótka historia Camino de Santiago

Pielgrzymi wędrują do relikwii świętego Jakuba – jednego z Dwunastu Apostołów – już od ponad tysiąca lat. W IX wieku na pielgrzymkę do Santiago de Compostela wybrał się sam Karol Wielki, jeden z najważniejszych twórców europejskiego christianitas. Według jednej z legend to jemu miał ukazać się św. Jakub i wskazać Santiago de Compostela jako miejsce, gdzie spoczęło jego ciało. Symbole pielgrzymek znalazły się później na monetach wykuwanych za panowania Karola.

W XII wieku aktem papieskim Santiago de Compostela stało się trzecim, po Rzymie i Jerozolimie, świętym miejscem chrześcijaństwa. Za sprawą Dantego pielgrzymi do grobu św. Jakuba zyskali też swoją nazwę – peregrini, tak jak mieli ją ci pielgrzymujący do Rzymu (romei) i Jerozolimy (palmieri). Według autora „Boskiej Komedii" tylko ci pierwsi mieli prawo nosić godność „pielgrzymów".

Pielgrzymowanie Drogą św. Jakuba było szczególnie popularne w późnym średniowieczu. Goethe powiedział, że „drogi św. Jakuba ukształtowały Europę". Kiedy fragment Drogi Francuskiej (najbardziej popularnej, idącej z granicy francusko–hiszpańskiej; druga w kolejności jest Droga Portugalska, rozpoczynająca się w Lizbonie) w 1982 roku przeszedł św. Jan Paweł II, Rada Europy uznała Drogę św. Jakuba za szlak o szczególnym znaczeniu dla kultury kontynentu, co dało początek odnowie wielu fragmentów ścieżki. Od 1993 roku Camino jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Coraz więcej pielgrzymów, coraz mniej religii?

Ostatnie lata to ogromny wzrost popularności Camino. Jak podaje w oficjalnych statystykach Biuro Pielgrzyma w Santiago de Compostela, o ile w 2015 roku do grobu św. Jakuba dotarło ok. 260 tysięcy pielgrzymów, o tyle w 2025 roku było ich już 530 tysięcy. W tym samym roku premierę miał film o tytule „Buen Camino" (to popularne wśród peregrini pozdrowienie), który okazał się największym włoskim kasowym hitem wszechczasów.

Na pierwszy rzut oka wzrost popularności trasy pielgrzymkowej można uznać za pozytywne zjawisko. Kiedy jednak sam wybrałem się do Santiago de Compostela Drogą Portugalską w sierpniu tego roku, zobaczyłem coś innego niż to, jak w Polsce wyobrażamy sobie pielgrzymki.

> Od XII wieku Santiago de Compostela jest, obok Rzymu i Jerozolimy, **jednym ze świętych miejsc** chrześcijaństwa.

Przede wszystkim inne są motywacje, dla których większość pielgrzymów (wędrowców?) rusza dzisiaj na Camino. Idący z powodów religijnych stanowią dzisiaj mniejszość – 44 procent wszystkich pielgrzymów. Co trzecia osoba, która dociera do Santiago de Compostela, idzie z innej niż religijna motywacji – niemal co piąta osoba mówi wprost, że jej motywacja jest całkiem niezwiązana z religią.

Najwięcej, bo blisko 41 procent, pielgrzymujących to osoby w wieku od 18 do 45 lat. Statystyka nie podaje bardziej szczegółowego podziału, ale oceniając po ludziach, których spotkałem na Drodze, bliżej im raczej dwudziestki niż czterdziestki. Wpływa to na zachowanie pielgrzymów. Są to ludzie młodzi, tryskający energią, która u Polaka może budzić zaskoczenie na trasie pielgrzymki: głośna muzyka (bynajmniej nie chodzi o hymny religijne) to jedno, a nocne imprezy zakrapiane alkoholem – to ciężar, o którym opowiadają mieszkańcy Santiago de Composte-

eprasa.pl 0fd3c58127

la w filmie dokumentalnym telewizji Arte pt. „Santiago de Compostela pod naporem pielgrzymów" z 2024 roku. Wielu młodych mówi także, że idzie do Santiago w celu znalezienia partnera lub partnerki, nierzadko wyłącznie na czas trwania pielgrzymki. Jeden z hosteli pod samą katedrą w Porto nawet przestrzega: to hostel imprezowy („party hostel"), jeśli chcesz ciszy i spokoju, to lepiej poszukaj innego noclegu.

Kolejnym problemem Drogi św. Jakuba jest wszechobecna komercjalizacja. Na ostatnich stu kilometrach cały czas natykamy się na kolejne sklepy i stoiska z suwenirami w postaci magnesów, naszywek, kubeczków, podkoszulków, na których w strojach pielgrzymów są Simpsonowie, bohaterowie „Gwiezdnych wojen" czy pies Snoopy z amerykańskiej kreskówki – jakbym był na Krupówkach. Wszystko można zmonetyzować, nawet laski i kostury, które zyskują cenę kilkunastu euro, jeśli doczepić do nich ten czy inny symbol Camino, np. słynną muszlę albo krzyż św. Jakuba.

Obie te rzeczy, to jest zachowanie młodych pielgrzymów przypominające bardziej sceny z juwenaliów niż pielgrzymki oraz komercjalizacja doświadczenia pielgrzymkowego, swoje ekstremum znajdują w... tatuażach, które „na pamiątkę" przejścia Camino można sobie zrobić za parędziesiąt euro. Jest to zjawisko tak powszechne, że na ostatnich kilometrach co paręset metrów można znaleźć reklamy takich usług.

Paszport pielgrzyma

Pielgrzym, który przejdzie minimum sto kilometrów, ma prawo do certyfikatu. Wydawane są one od kilkuset lat i nadal pisane po łacinie. By zdobyć taką „pamiątkę", trzeba jednak udowodnić przed odpowiednim urzędnikiem w Biurze Pielgrzyma, że przeszło się całą trasę. Dowodem są pieczątki w paszporcie pielgrzyma – minimum dwie dziennie. Można je zdobyć wszędzie na trasie pielgrzymki: w kawiarniach, w hotelach, w sklepach. A czasem nawet i w kościołach. Piszę: czasem, bo jeśli bywały miejsca, gdzie pieczątek nie było, to często były to kaplice na trasie Camino. Paradoks? Nie sądzę – wydaje mi się, że duchowni celowo próbują odciąć się od pieczątkizacji będącej elementem traktowania Camino jako zadania do wykonania, a nie wydarzenia duchowego.

Czy jednak przekreśla to sens wejścia na Drogę św. Jakuba?

Moje Camino

We wstępie napisałem, że Camino przypomina dziś bieg z przeszkodami duchowymi. Jeśli potraktować to w ten



sposób, można wykorzystać ten bieg jako rodzaj ćwiczeń duchowych. Z jednej strony przez nieuleganie pokusom („chcę pochwalić się znajomym!"), a z drugiej: przez walkę z wewnętrznym sędzią oceniającym innych ludzi. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni.

Na Camino wybrałem się z synem przed ważną zmianą w jego życiu, czyli przed rozpoczęciem szkoły średniej. Spędziliśmy wspólnie kilka dni, bez żadnych rozpraszaczy w postaci telewizora czy gier wideo. Naiwnie sądziłem, że to ja czegoś go „nauczę", coś mu przekażę, ale było odwrotnie: to ja zrozumiałem, że mogę nauczyć się od niego wytrwałości, pogody ducha (narzekał znacznie mniej niż ja!). Przede wszystkim zobaczyłem, że jest dojrzalszy, niż sądziłem.

Wyszliśmy z Vigo. To spore hiszpańskie miasto na drodze portugalskiej, które okupował kiedyś słynny brytyjski korsarz Francis Drake, sprawca dwóch największych kradzieży w historii (okradał Hiszpanów ze złota i srebra płynących z Ameryki Łacińskiej). To właśnie w obawie przed nim w 1589 roku ukryto relikwie Apostoła, na tyle skutecznie, że odnaleziono je dopiero trzy wieki później. Ponieważ Vigo od Santiago dzielą 103 kilometry, jest to popularny punkt wyjścia (co dwudziesta osoba tutaj zaczyna wędrówkę do grobu Apostoła). Miasta mają jedną zaletę: w wielu miejscach można kupić w nich wzmacniającą kawę (a ta często jest tańsza niż w polskich kawiarniach). Mają też wady: są mało widowiskowe, głośne i łatwiej tu zgubić Drogę oznaczoną na całej trasie muszlami i żółtymi strzałkami. Po wyjściu z Vigo szliśmy granią, dzięki czemu przez wiele kilometrów towarzyszył nam widok na zatokę Ria

eprasa.pl 0fd3c58127

de Vigo. Pierwsza próba nadeszła dość szybko: wbrew prognozom pogody zaczęło padać. I padało przez kilka godzin. Nie byliśmy przygotowani na deszcz – pogoda miała być słoneczna – co spotęgowało moją frustrację. Ale już na samym początku Drogi zobaczyłem, że mój syn – zastępowy w ZHR mający duże doświadczenie wędrownicze – na tę przeszkodę reaguje ze stoickim wręcz spokojem.

Po przejściu pierwszego odcinka tego dnia pogoda była dla nas łaskawsza. Do Redondeli dotarliśmy po południu, gdzie zaopatrzyliśmy się w foliowe poncza przeciwdeszczowe. Redondela to miasteczko, w którym nadmorska Droga Portugalska łączy się ze starszą historycznie, krótszą, kontynentalną. Pierwszego dnia, jak i w kolejnych, to w pierwszej części dnia spotykaliśmy najwięcej pielgrzymów. Wśród nich wielu – jak my – obcokrajowców (Hiszpanie stanowią dziś mniej niż połowę pielgrzymujących, na drugim miejscu są Amerykanie; Polaków jest ok. 1,5%), często idących samotnie, czasem w dwie lub trzy osoby.

To bowiem pierwsza istotna różnica między Camino a polskimi pielgrzymkami: o ile u nas pielgrzymujemy w zorganizowanych grupach, z osobami duchownymi, często wspólnie modląc się i śpiewając pieśni religijne, o tyle na Drodze św. Jakuba nie spotkaliśmy nikogo w szatach osoby duchownej, księdza czy zakonnicy. Nie było także większych grup niż kilkuosobowe, nie było wspólnych śpiewów i modlitw – na całej trasie spotkaliśmy jedną osobę, która odmawiała Różaniec.

Drugi odcinek tamtego dnia przeszliśmy niemal samotnie. Postanowiliśmy bowiem przejść trasę rozłożoną na 5 dni w czasie o połowę krótszym. O ile więc większość pielgrzymów zatrzymywała się po dwudziestu paru kilometrach, o tyle my mogliśmy jedynie chwilę odpocząć, posilić się, by zaraz ruszyć w dalszą drogę.

Do Pontevedry dotarliśmy pod wieczór. Tu chcieliśmy przenocować w jednym z większych albergue (to coś na przecięciu domu pielgrzyma i schroniska) na naszej trasie, jednak niemal wszystkie sto miejsc noclegowych było zajęte. Zmęczeni i przemoczeni zaczęliśmy szukać noclegu, co nie było łatwe, bo miasto jest popularnym celem turystycznym i mimo tego, że ma bogatą bazę noclegową, z powodu trwającego letniego festiwalu niemal wszystkie miejsca noclegowe były zajęte. Wreszcie znaleźliśmy nocleg w jednym z hoteli. Moja porada: nie kierujcie się cenami noclegów w serwisie Booking.com w sytuacji, kiedy brakuje miejsc. Za nasz nocleg zapłaciliśmy o połowę mniej na miejscu, niż zapłacilibyśmy przez portal internetowy.

Drugi dzień był największym wyzwaniem – ponad 40 kilometrów. Pierwszy odcinek, do Caldas de Reis, minął nam wyjątkowo sprawnie i szybko. Na początku dnia kilometry mijają znacznie szybciej niż pod wieczór. Caldas de Reis to jedno z najładniejszych miasteczek na naszej trasie. Mnóstwo pielgrzymów (na Camino, podobnie jak w Polsce, najwięcej pielgrzymów wychodzi w sierpniu), starówka z miejscami, w których zmęczeni pielgrzymi mogą ochłodzić stopy w kamiennych brodzikach, jakie na trasie pielgrzymki postawiono czasem setki lat temu. Większość z nich, podobnie jak większość koryt rzek i potoków, jakie przekraczaliśmy, było suchych – Hiszpania również mierzy się z suszą.

Kolejny odcinek, do miasteczka Padrón, był wyjątkowo wymagający. Nie zaleca się chodzić popołudniami z powodu wysokiej temperatury oraz mocnego słońca, jednak nasz ambitny plan oraz nakrycia głowy pozwoliły nam dotrzeć do celu tamtego dnia. Pomogło nam również to, że w kilku miejscach na trasie idzie się w cieniu winorośli – jeśli ścieżka sąsiaduje z niewielkimi winnicami, ich właściciele przerzucają nad nią winorośle. Nie tylko wygląda to wyjątkowo atrakcyjnie, ale także chroni przed słońcem. Jestem wdzięczny właścicielom winnic, którzy pomyśleli o wsparciu pielgrzymów w ten sposób.

Ostatnie sto kilometrów Drogi św. Jakuba momentami przypomina atmosferą coś na przecięciu **studenckich juwenaliów** i zakopiańskich Krupówek.

Przygotowując się do marszu, pamiętajcie o kilku podstawowych zasadach: warto wziąć ze sobą chroniące przed słońcem nakrycie głowy, lekką osłonę przed deszczem, dobre obuwie (podstawa!) i lekki plecak (powtarzają tutaj dobrą radę, że nie powinien być cięższy niż 15 proc. wagi pielgrzyma). Po drodze znajdziecie nieliczne miejsca, w których za darmo będzie można napełnić bidony, dlatego miejcie też odpowiednią ilość wody (nam na dwie osoby wystarczały 2–3 litry na każdy odcinek).

Do Padrón dotarliśmy z opóźnieniem. Właściciel pensjonatu, w którym nocowaliśmy, nie był szczególnie pomocny, jeśli idzie o opóźnienie i godziny odebrania

eprasa.pl 0fd3c58127

kluczy do pokoju, dlatego rezerwując miejsca w albergue, uważnie sprawdzajcie godziny przyjęć oraz wymeldowania.

Trzeciego dnia wstaliśmy na tyle wcześnie, by móc podziwiać wschód słońca z tarasu przed klasztorem karmelitów. Sam kościół był zamknięty – w Hiszpanii to raczej standard niż wyjątek. Fakt, że w Polsce większość kościołów pozostaje otwarta, uważam za nasz wielki narodowy skarb, który należy chronić jak oko w głowie.

Tego dnia dotarliśmy do Santiago. Obolali, zmęczeni (ostatnie kilometry zdawały się nie mieć końca, a samo wejście do Compostelі Drogą Portugalską to bodaj najbrzydszy, najmniej przyjazny pieszym fragment trasy), z odciskami przyjmującymi coraz bardziej sensacyjne kształty. Gdyby nie pomoc z opatrunkami, jakiej syn udzielił mi w Pontevedrze jeszcze przed świtem, nie dotarłbym do celu, a już nie pewno nie w ciągu trzech dni.

Goethe stwierdził, że „Drogi św. Jakuba ukształtowały Europę". W 1982 r. Rada Europy uznała Drogę za **szlak o szczególnym znaczeniu dla kultury kontynentu**, a od 1993 r. Camino jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

W Santiago

Do Biura Pielgrzyma i do samej katedry, w której mieszczą się relikwie świętego Jakuba, poszliśmy jednak dopiero następnego dnia, w niedzielę. O godzinie 12 odprawiana jest tutaj Msza pielgrzymów, w języku hiszpańskim. Wcześniej jednak duchowni z wielu krajów przedstawiają ofertę duszpasterską dla również polskojęzycznych pielgrzymów (Msza Święta po polsku odbywa się o godzinie 16 w pięknej kaplicy w Biurze Pielgrzyma).

By wejść do katedry, czekaliśmy w dość długiej, ale szybko poruszającej się kolejce. Szczęśliwie sama katedra w większości przeznaczona jest dla celów religijnych, dzięki czemu pielgrzymi, mimo że wchodzą bocznym wejściem, nie czują się jak przeszkoda dla turystów (jak to czasem bywa w popularnych bazylikach zarabiających na turystyce). Pod ołtarzem znajduje się sarkofag z relikwiami, natomiast na podwyższeniu za dużym ołtarzem można przytulić figurę świętego (do czego zachęcają nawet tabliczki, chociaż sugerują też pewien umiar w obściskiwaniu posągu).

Po Mszy zwiedziliśmy jeszcze Muzeum Pielgrzymstwa i Santiago de Compostela, które mieści się na trzech piętrach niedaleko katedry i jest darmowe. Gorąco polecam odwiedziny w tym miejscu, bo w interaktywny sposób pokazuje historię pielgrzymowania do Santiago (szczególnie ciekawa jest salka pokazująca, jak muzyka związana z Drogą wpływała na rozwój europejskiej muzyki religijnej; można jej również posłuchać), a także historię samego miasta. Znajdziecie tu liczne przedstawienia św. Jakuba jako Santiago Matamoros – Jakuba Pogromcy Maurów. Związane jest to z legendarną bitwą pod Clavijo, będącą częścią rekonkwisty. Apostoł miał wziąć w niej udział po stronie chrześcijan, którzy pobili wtedy muzułmanów. O tym, że chodzi o wyznawców islamu, dowiemy się skądinąd, bo w samym muzeum plakietki informacyjne mówią o bliżej nieokreślonych „niewiernych" („infidels").

Owoce

Do Santiago poszedłem z intencją związaną z synem. Chciałem, by dostał się do wymarzonej szkoły, co wtedy jeszcze nie było pewne – i rzeczywiście tydzień po powrocie do Polski został uczniem szkoły pierwszego wyboru. W czasie wędrówki chciałem nawiązać z nim bliższą więź, lepiej poznać go w czasie, kiedy zmienia się w związku z dojrzewaniem. Udało się to w sposób bardziej zaskakujący, ale też sensowniejszy, niż mogłem się spodziewać. Jeśli idzie jednak o przeżycia religijne, także z powodów tu opisanych, nie przeżyłem niczego nadzwyczajnego. Dzięki temu pojąłem, że sam uległem pokusie „wykonania zadania" i że łatwiej było mi przejść sto kilometrów po drugiej stronie Europy, niż regularnie w niedziele pojawiać się w swoim kościele parafialnym kilkaset metrów od domu. Postanowiłem więc najpierw umocnić fundament, zanim zabiorę się za budowę duchowego dachu.

Popularność Camino gwałtownie rośnie w ostatnich latach. Przed dekadą do Santiago dotarło **260 tysięcy** pielgrzymów, w zeszłym roku – już 530 tysięcy.

eprasa.pl 0fd3c58127

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Nauczyciele i naukowcy WYJDĄ NA ULICE



Fot. M. Żegliński

Manifestacja „Edukacja i nauka grają o swoją przyszłość!” odbędzie się w sobotę, 17 października, w Warszawie.

Działacze Solidarności będą domagać się m.in. godnych wynagrodzeń dla pracowników oświaty, szkolnictwa wyższego i nauki, w tym także powiązania ich pensji z przeciętnym wynagrodzeniem w gospodarce.

Chcą też ograniczenia biurokracji i zbędnych obowiązków, a także szacunku dla nauczycieli szkolnych, akademickich i naukowców, jak również „zaprzestania ciągłych, chaotycznych eksperymentów edukacyjnych”.

Wśród ich postulatów znalazło się również radykalne i trwałe zwiększenie nakładów publicznych na oświatę do 4,7 procent PKB oraz na naukę i szkolnictwo wyższe do 3 procent PKB.

Październikowy protest nauczycieli, pracowników oświaty i nauki będzie połączony z koncertem, którego gwiazdą będzie muzyk Robert Kasprzycki. Na scenie pojawią się także inni wykonawcy.

– Chcemy, aby Plac Zamkowy w Warszawie wypełnił się biało-czerwonymi flagami, sztandarami Solidarności, transparentami i przede wszystkim ludźmi, którzy chcą upomnieć się o polską edukację i naukę. Niech tego dnia będzie nas widać i słychać. Niech zabrzmi muzyka. Niech zabrzmi Solidarność. Niech zabrzmi głos pracowników edukacji i nauki – apelują związkowcy z „S”.

PRACOWNICY VALMETU WALCZĄ O PODWYŻKI

Valmet Automotive to przedsiębiorstwo dostarczające systemy dachowe do kabrioletów dla takich marek jak Audi, BMW, Bentley, Porsche czy Mercedes-Benz. Oferuje też systemy kinematyczne, tj. zarządzania powietrzem, które poprawiają aerodynamikę pojazdu.

Firma jeden ze swoich zakładów posiada w Żarach, gdzie zatrudnia około 360 osób. Ich zarobki nie należą do najwyższych, dlatego Solidarność zabiega o podwyżki dla załogi.

eprasa.pl 0fd3c58127


Fot. R. Szewczyk

„Polityka klimatyczna UE ma bezpośrednie przełożenie na ceny energii, kosztów produkcji, miejsca pracy i poziom życia milionów obywateli. Trudno zrozumieć, dlaczego obywatele nie mieliby mieć prawa wypowiedzieć się na jej temat w referendum”.

dr Robert Szewczyk, koordynator „S” ds. kontaktów OECD, Tysol.pl, 29 września br.

Początkowo związkowcy domagali się pensji wyższych o 569 zł brutto, ale z czasem obniżyli swoje żądania do 400 zł brutto.

„W styczniu tego roku otrzymaliśmy 3 procent podwyżki, które nie były konsultowane ze związkami, ale tak naprawdę było to wyrównanie do najniższej krajowej. Dla osób z wieloletnim stażem to nie jest podwyżka” – powiedziała Anna Tyszecka, szefowa zakładowej Solidarności, w rozmowie z „Gazetą Lubuską”.

W firmie trwa obecnie spór zbiorowy, który niedługo wejdzie w etap mediacji.

„Komisja Zakładowa i tak obniżyła swoje oczekiwania o połowę, bo oczekiwano podwyżek od stycznia tego roku, a przystano na lipiec, biorąc pod uwagę argumenty firmy” – zaznaczył przewodniczący zielonogórskiej „S” Bogusław Motowidełko, cytowany przez wspomnianą gazetę.

OLIMPIADA SOLIDARNOŚCI

Trwają zapisy na dwunastą edycję „Olimpiady Solidarności. Dwie dekady historii”. Rejestracja szkół rozpoczęła się 15 września i potrwa przez dwa miesiące, do 15 listopada. Do udziału w Olimpiadzie uczniowie nie mogą zgłaszać się indywidualnie. To nauczyciel dokonuje zgłoszenia szkoły.

Konkurs składa się z trzech etapów egzaminacyjnych: szkolnego, wojewódzkiego, a na koniec wielkiego finału, który poprzedza trzydniowa wizyta studyjna w Gdańsku.

W Olimpiadzie mogą wziąć udział uczniowie klas 3 i 4 liceów oraz 4 i 5 techników z całego kraju. Na najlepszych uczniów czekają indeksy na czołowe uczelnie wyższe, stypendia i nagrody rzeczowe. Nauczyciele zwycięskich drużyn mogą z kolei liczyć na nagrody pieniężne, a szkoły na nagrody rzeczowe.

RELIKWIE BŁ. KS. POPIEŁUSZKI W JAWORZE

W zeszłą niedzielę, 27 września, do kościoła pw. św. Faustyny Kowalskiej w Jaworze wprowadzono relikwie bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

W uroczystej procesji relikwiarz ufundowany przez Zarząd Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „Solidarność” ponieśli członkowie jaworskiej Solidarności, którzy na końcu przekazali go księdzu Ryszardowi Wołowskiemu, proboszczowi parafii Miłosierdzia Bożego w Jaworze.

Mszy Świętej dla zgromadzonych wiernych przewodniczył w tym dniu ks. Zbigniew Kulesza, a homilię wygłosił ks. Andrzej Buryła. Na koniec wierni zmówili modlitwę w intencji Ojczyzny i Solidarności.

BIEG LUBELSKIEGO LIPCA

Już niebawem na ulice Lublina wybiegną uczestnicy 33. Biegu Solidarności „Lubelski Lipiec 1980”. Impreza sportowa upamiętniająca falę robotniczych strajków na Lubelszczyźnie wystartuje 10 października. Główny bieg na dystansie około 3000 metrów będzie połączony z Biegiem Służb Mundurowych.

Po dorosłych tę samą trasę pokonają uczniowie szkół średnich, a na końcu dzieci ze szkół podstawowych od klasy piątej wzwyż. Wydarzeniu towarzyszyć będą dwie dodatkowe imprezy sportowe na stadionie lekkoatletycznym w Lublinie.

Pierwszą z nich będzie Bieg Młodzików dla uczniów klas 1–4 szkół podstawowych oraz dzieci z niepełnosprawnościami, a drugą Bieg Krasnali dedykowany przedszkolakom i dzieciom z niepełnosprawnością w wieku przedszkolnym.

M.K.

Kalendarium Solidarności

8.10.1982 – Sejm PRL uchwala ustawę oznaczającą delegalizację NSZZ „Solidarność”;

11.10.1982 – odbywają się ogólnokrajowe protesty przeciwko delegalizacji Solidarności;

6.10.1992 – rozpoczynają się negocjacje związkowców „S” z rządem i pracodawcami nad przygotowaniem zbioru ustaw określanych jako Pakt o przedsiębiorstwie.

eprasa.pl 0fd3c58127

Solidarność ponad granicami

„Solidarność ponad granicami – historyczne tradycje i współczesne wyzwania” to temat **międzynarodowej konferencji**, która odbyła się w Sali BHP 30 września.

Agnieszka Żurek



Fot. R. Wąsik (5)

W 45. rocznicę przyjęcia „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej” historycy, związkowcy, politycy i eksperci ds. międzynarodowych dyskutowali w Sali BHP o historycznych, ale także bieżących aspektach współpracy w Europie Środkowej. Honorowymi gośćmi wydarzenia były legendy Solidarności, Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Patronat nad konferencją objęła Kancelaria Prezydenta RP.

W spotkaniu uczestniczyli dyplomaci z państw Europy Środkowej – ambasador Albanii w Polsce Mimoza Halimi, konsul generalny Węgier w Polsce Péter Kertész i trzecia sekretarz ambasady Słowenii Neji Bergant. W wydarzeniu wzięli udział także przedstawiciele polskich władz parlamentarnych, m.in.: wicemar-

eprasa.pl 0fd3c58127

szałek Sejmu RP Marcin Horała (Rozwój Plus) oraz posłowie na Sejm RP: Kacper Płażyński (Prawo i Sprawiedliwość) i Szymon Szynkowski vel Sęk (Rozwój Plus).

Wspólnota losów

W panelu dyskusyjnym pt. „Współpraca, nadzieja i represje. Recepcja «Posłania do Ludzi Pracy Europy Wschodniej» i działalności NSZZ «Solidarność» w państwach bloku wschodniego" prowadzonym przez dyrektora operacyjnego Fundacji Promocji Solidarności dr. Adama Chmieleckiego wzięli udział naukowcy i świadkowie historii – Adam Hlebowicz (Biuro Edukacji Narodowej, Instytut Pamięci Narodowej), dr Jan Hlebowicz (Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Gdańsku), dr Aleksander Kozicki (sekretarz Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność"), dr Grzegorz Majchrzak (Biuro Badań Historycznych, Instytut Pamięci Narodowej) oraz dr Józef Orzeł (Instytut Międzymorza, Klub Ronina).

Paneliści opowiadali o kulisach wykuwania się treści samego dokumentu, o niełatwej drodze do jego powstania, niejednoznaczności stanowisk w tej sprawie wśród samych działaczy opozycji antykomunistycznej w PRL-u, a także o tym, jak został on przyjęty w państwach dawnego Bloku Wschodniego.

– To tutaj, w historycznej Sali BHP, komunistyczna władza została zmuszona do podjęcia dialogu z obywatelami, z ludźmi pracy – powiedział prezes Fundacji Promocji Solidarności Michał Ossowski, otwierając konferencję. Odnosząc się do treści „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej", wskazał, że jego sens zawierał się w skierowanych do innych narodów słowach: „Nie jesteście sami, zmiany są możliwe".



> ***Władza pracowała nad tym, aby Solidarność pognębić, a społeczeństwo zmęczyć konfliktami, dzięki czemu łatwiej było później wprowadzić stan wojenny.***
>
> **prof. WOJCIECH POLAK**

Michał Ossowski zaznaczył, że rozmowa o historii jest istotna nie tylko z uwagi na powinność kolejnych pokoleń, aby upamiętniać najistotniejsze wydarzenia, ale stanowi także punkt odniesienia dla teraźniejszości. – Musimy z historii wyciągać wnioski i czerpać wskazówki dla naszych bieżących decyzji – podkreślił.

Prof. Wojciech Polak przedstawił w swojej prelekcji faktografię dotyczącą okoliczności powstania „Posłania do ludzi Europy Wschodniej". Odczytał także treść samego dokumentu. – Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność" pokazał, że czuje wspólnotę losów krajów uciemiężonych przez Związek Sowiecki – podkreślił prof. Polak.

Dodał, że celem stworzenia tej odezwy było także odkłamanie komunistycznej propagandy, która przedstawiała związkowców jako nieodpowiedzialnych wichrzycieli, a nie ludzi, których celem jest dobro wspólne w życiu publicznym. Prelegent opowiedział również o reakcjach, jakie „Posłanie" wywołało u przedstawicieli komunistycznego reżimu. – Władza pracowała nad tym, aby Solidarność pognębić, a społeczeństwo zmęczyć konfliktami, dzięki czemu łatwiej było później wprowadzić stan wojenny – zaznaczył historyk.

Solidarność w XXI wieku

W dalszej części dyskusji paneliści rozmawiali o roli współpracy związków zawodowych i organizacji społecznych we współczesnych relacjach społeczno-gospodarczych. Zastanawiali się także, w jaki sposób budować realną solidarność w XXI wieku. Michał Ossowski stwierdził, że wyzwania stojące przed Solidarnością nie odbiegają w swojej najgłębszej

eprasa.pl 0fd3c58127



istocie od tych, które przyświecały jej założycielom. – Wiele rzeczy zostało takich samych. Z punktu widzenia Solidarności nadal naszymi drogowskazami są Postulaty Sierpniowe. To jest dążenie do godności pracy, godnych płac, do tego, żeby pracownicy mieli głos w dialogu społecznym – przypomniał.

– Dziś walczymy o to samo, choć żyjemy w innych realiach. Związki zawodowe są mniej lub bardziej niewygodne dla każdej władzy. Walczymy wciąż o to samo, czyli o prawa pracownicze, o to, aby ludziom żyło się lepiej. Nie zmieniła się także misja Solidarności. Nie jesteśmy zwykłym związkiem zawodowym, ale związkiem o ogromnej historii i misji, toteż spoczywa na nas szczególna odpowiedzialność – dodał.

Redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność" Rafał Woś zauważył, że choć w regionie środkowoeuropejskim „łączy nas podobna historia i podobne problemy z tymi ze Wschodu i z tymi z Zachodu", a także mimo iż „mamy podobne spojrzenie na współpracę transatlantycką", to jednak współpraca ta układa się różnie. – Pokazała to chociażby kwestia Turowa, kiedy tej solidarności europejskiej zabrakło ze strony naszych braci Czechów – przypomniał Rafał Woś. Podkreślił jednak, że w jego opinii mimo rozmaitych gier operacyjnych prowadzonych przez komunistyczne i postkomunistyczne służby oraz ich beneficjentów, Solidarności udało się osiągnąć bardzo wiele i realnie wpłynąć także na dzisiejszą rzeczywistość. – Być może na co dzień tego nie zauważamy i nie doceniamy, skupiając się nadmiernie na tym, czego zrobić się nie udało – dodał redaktor naczelny „TS".

Format Solidarności

Poseł na Sejm RP, przewodniczący Parlamentarnej Grupy ds. Trójmorza, Szymon Szynkowski vel Sęk stwierdził, że odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy w stanie dzisiaj współpracować solidarnie w obrębie naszego regionu, nie jest jednoznaczna. – Czasem współpraca potrafi rozbić się o kwestie detaliczne. Sprawa Turowa była bolesna ze względu na swój wymiar symboliczny, ale uważam, że kwestie sporne nie powinny przesłaniać tego, co jednak nas łączy – podkreślił.

– Mam głębokie przekonanie, że przesłanie przyjęte w Sali BHP 45 lat temu pozostaje aktualne w warstwie międzynarodowej i odpowiadają na nie dzisiaj wolne, suwerenne narody w formacie Trójmorza, którego nie waham się nazwać formatem Solidarności. Cały czas mierzymy się jeszcze z infrastrukturalną żelazną kurtyną. Musimy współdziałać, bo tylko wtedy odpowiemy na skomplikowaną współczesną rzeczywistość geopolityczną – wskazał.

Aleksandra Jankowska, prezes Instytutu Międzymorza, zaznaczyła, że państwa naszego regionu łączą przede wszystkim kwestie dotyczące bezpieczeństwa. – Ważne jest to, aby do wspólnych działań dołączyły także Skandynawia i Turcja. Mierzymy się współcześnie również z bardzo poważnymi wyzwaniami dotyczącymi rynku pracy, szczególnie w kontekście ekspansji sztucznej inteligencji – podkreśliła prelegentka. Jankowska uznała, że tym, co może łączyć kraje naszego regionu, jest gospodarka i możliwo-

> ***Przesłanie przyjęte w Sali BHP 45 lat temu pozostaje aktualne w warstwie międzynarodowej i odpowiadają na nie dzisiaj wolne, suwerenne narody w formacie Trójmorza, którego nie waham się nazwać formatem Solidarności.***
>
> SZYMON SZYNKOWSKI VEL SĘK

eprasa.pl 0fd3c58127

ści jej rozwoju na drodze współpracy transatlantyckiej.

O doświadczeniach związanych z zainicjowaną przez Solidarność współpracą pomiędzy narodami krajów Europy Środkowo-Wschodniej i perspektywach na przyszłość opowiadali zagraniczni goście konferencji, m.in. Siarhiej Antusiewicz (Białoruski Kongres Demokratycznych Związków Zawodowych, Białoruś), dr Pal Atilla Illes (Fundacja im. Wacława Felczaka, Węgry), Kristina Krupavičienė (Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny, Solidarumas, Litwa), prof. Bostjan M. Turk (Europejska Akademia Nauki i Sztuki, Uniwersytet w Lublanie, Słowenia), Yuri Ravavoi (ekspert NSZZ „Solidarność", Białoruś) oraz Stanislav Jansky (Patrimonium Sancti Adalberti, Czechy).

Podkreślali oni, że tym, co stało się siłą Solidarności, były wartości, w obronie których wystąpili związkowcy, a także atmosfera wspólnoty, dzięki której tworzący Solidarność ludzie stali się dla siebie de facto członkami rodziny. – I do tego powinniśmy wrócić i na tym właśnie budować – podsumowali prelegenci.



Uchwalone przez I Zjazd NSZZ „Solidarność" 8 września 1981 roku w Gdańsku „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej" było jednym z najbardziej odważnych posunięć politycznych Solidarności. Polscy związkowcy przekazali wówczas pozdrowienia i słowa poparcia robotnikom z krajów bloku komunistycznego (Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, Węgier i ZSRR), a także wezwali do wspólnej walki o wolne związki zawodowe oraz obronę praw pracowniczych, co wywołało ogromne oburzenie i wściekłość na Kremlu (w tym u Leonida Breżniewa).

„Jako pierwszy, niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwom szerzonym w waszych krajach jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń" – pisali w „Posłaniu" polscy związkowcy.

Jak pokazała międzynarodowa konferencja w historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej, treść „Posłania" pozostaje aktualna, nadal inspiruje do poszukiwania ścieżek współpracy państw Europy Środkowo-Wschodniej, a jej podstawowy sens pozostaje niezmienny także w przynoszącej nowe wyzwania dla świata pracy rzeczywistości XXI wieku.



eprasa.pl 0fd3c58127

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Pokazujemy dziś Politechnikę Warszawską. To Wydział Elektroniki, prawda?

Tomek: – Tak, ten sam, na którym studiowałem pod koniec lat sześćdziesiątych.

– Brał Pan udział w protestach, które tu się odbywały w 1968 roku.

– 9 marca protestowali przed wydziałem studenci. Milicja weszła do gmachu. Dr Tadeusz Morawski wziął gaśnicę, wycelował w milicjantów i polał ich. Wtedy studenci i inni pracownicy też wkroczyli do akcji. Leciały krzesła i inne przedmioty.

– I co było dalej?

– Po południu dziekan, prof. Stanisław Sławiński zadzwonił do komendanta stołecznego MO i delikatnie mówiąc, sprzeciwił się wchodzeniu służb na teren uczelni. Studentów bronił wówczas także prodziekan Romuald Litwin. Wspaniała postać. Zresztą uścisnął mi serdecznie dłoń i pogratulował, gdy dostałem naganę za udział w protestach.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 0fd3c58127

PRAWO

JESTEŚ NA L4, A SZEF DZWONI?
Sprawdź, czy musisz odebrać

Dostałem zwolnienie lekarskie na dwa tygodnie. Pierwszego dnia choroby poinformowałem przełożonego o swojej nieobecności. Wszystko było jasne. Następnego dnia telefon – dzwoni szef. Nie odebrałem. Po godzinie kolejny telefon, potem wiadomość: „**Proszę pilnie oddzwonić**”. Czy podczas L4 mam obowiązek odbierać telefon od pracodawcy? A co, jeżeli szef chce tylko o coś zapytać, przekazać informację albo poprosić mnie o wykonanie drobnego zadania?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W praktyce wiele osób uważa, że skoro pracownik pozostaje zatrudniony, to nawet podczas choroby powinien być dostępny dla pracodawcy. Z drugiej strony pojawia się przekonanie, że wystawienie L4 oznacza całkowite zerwanie kontaktu z firmą aż do dnia powrotu do pracy. Prawda jest bardziej skomplikowana. Sam fakt przebywania na zwolnieniu lekarskim nie oznacza automatycznie, że pracodawca nie może się z pracownikiem skontaktować. Nie oznacza jednak również, że pracownik ma podczas choroby obowiązek pozostawania w stałej gotowości do wykonywania pracy. Przede wszystkim zwolnienie lekarskie oznacza czasową niezdolność do pracy. Pracownik nie może więc zostać zobowiązany do wykonywania swoich zwykłych obowiązków tylko dlatego, że pracodawca potrzebuje jego pomocy. Takie czynności mogą oznaczać faktyczne wykonywanie pracy podczas zwolnienia, co może mieć konsekwencje w zakresie prawa do świadczeń chorobowych. Samo udzielenie krótkiej informacji organizacyjnej nie musi jeszcze oznaczać wykonywania pracy. Zupełnie inaczej wyglądałaby jednak sytuacja, gdyby pracodawca poprosił pracownika o przygotowanie dokumentu, zalogowanie się do systemu, kontakt z klientem czy wykonanie konkretnego zadania. Wtedy trudno byłoby mówić już tylko o zwykłym kontakcie z pracodawcą. Nie oznacza to jednak, że podczas L4 pracownik może całkowicie zignorować pracodawcę w każdej sytuacji. Pracownik ma określone obowiązki związane z usprawiedliwianiem swojej nieobecności. Państwowa Inspekcja Pracy przypomina, że samo elektroniczne przekazanie zwolnienia do pracodawcy nie zwalnia pracownika z obowiązku poinformowania go o nieobecności. Jeżeli przepisy obowiązujące u danego pracodawcy nie określają innego sposobu, można zrobić to między innymi telefonicznie, SMS-em lub e-mailem. W czasie choroby mogą pojawić się również sytuacje, w których kontakt z pracownikiem jest uzasadniony z powodów organizacyjnych. Przykładem może być konieczność ustalenia sposobu zwrotu firmowego laptopa, telefonu, kluczy czy innych powierzonych przedmiotów. PIP wskazuje, że pracodawca może w takiej sytuacji skontaktować się z pracownikiem i ustalić sposób zwrotu powierzonego mienia, również podczas zwolnienia lekarskiego. Warto więc rozróżnić dwie rzeczy: kontakt z pracodawcą i wykonywanie pracy. Sam telefon od szefa nie oznacza jeszcze, że pracownik musi wykonywać polecenia służbowe. Jeżeli jednak pracodawca oczekuje podczas L4 normalnej pracy, udziału w spotkaniach, obsługi klientów czy przygotowywania dokumentów, pracownik powinien jasno wskazać, że z powodu niezdolności do pracy nie może wykonywać obowiązków. Podczas choroby najważniejszym obowiązkiem pracownika jest powrót do zdrowia i prawidłowe korzystanie ze zwolnienia. S

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 0fd3c58127

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Sławomir Jastrzębowski (Przyzwolenie..., s. 42),
był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Barbara Michałowska („Wychodzicie..., s. 38),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Ludwik Pęziół (Nadchodzą..., s. 48),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". W Tysolu od roku 2024.

Tadeusz Płużański (Straszył..., s. 51),
historyk, popularyzator wiedzy o polskim podziemiu niepodległościowym. Wydał „Obławę na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych" (Replika, 2017). Dla nas pisze od roku 2020.

Patryk Stanik (Droga..., s. 62),
specjalista od marketingu internetowego, nowych mediów oraz tematyki religijnej, przez lata związany z „Tygodnikiem Powszechnym", od 2025 r. pisze dla nas.

Hanna Szymerska (Co się stanie..., s. 44),
publicystka zajmująca się państwami Europy Centralnej, zwłaszcza Węgrami. Mówi po węgiersku i podróżuje często do tego kraju.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 0fd3c58127

POZNAJ HISTORIĘ SOLIDARNOŚCI

Odwiedź miejsce jej narodzin



Wycieczki po **SALI BHP** z przewodnikiem

BYŁYM STOCZNIOWCEM, UCZESTNIKIEM STRAJKU W 1980 R.

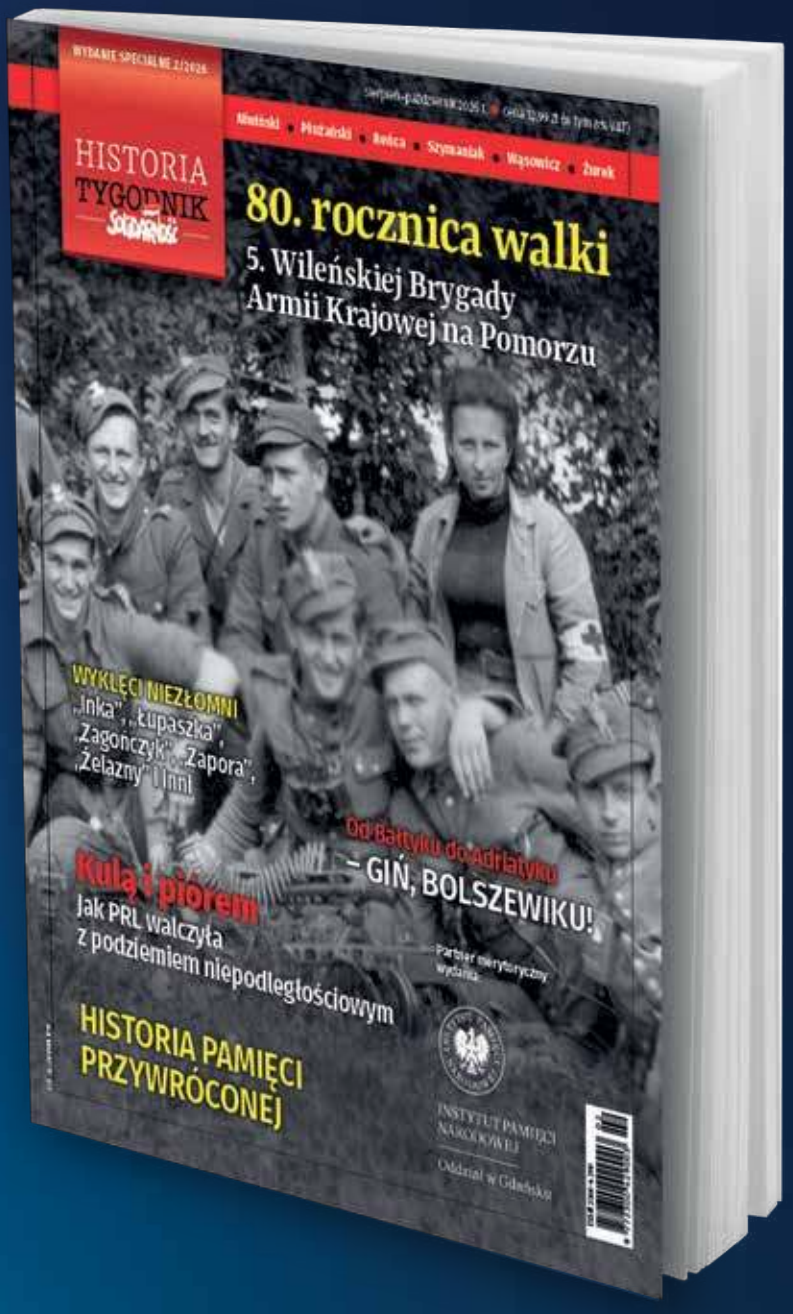
REZERWACJA WYCIECZEK

SALA BHP **salabhp.pl**

eprasa.pl 0fd3c58127

WYDANIE SPECJALNE

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI



DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL,
W EMPIKACH I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl 0fd3c58127